



Czarne

Licho mieszka na dnie jeziora Gopło. Ma czarny łeb, czarny brzuch, czarne łapy i czarny ogon, nawet jęzor ma czarny i czarne myśli pod czarną czupryną. W dzień śpi pod pierzyną z mułu, w nocy pracuje. Gdy śpią gospodarze, tu im coś nadłucze, tu popłucze, tam nadpsuje. Praca Licha jest licha, bo Licho nigdy nie doprowadza niczego do końca. Ot, choćby postanawia zbić gliniany garnek, w ostatniej chwili jednak zmienia zamiar i tylko obija ucho. Albo zamiast, jak planowało, połamać gospodyni kołowrotek, jedynie płucze jej przedzę. Dzieciom nie kradnie wszystkich zabawek, lecz tylko te, które lubią najmniej...

Licho i Inni to efekt współpracy znanej pisarki i znawczyny surrealizmu, Agnieszki Taborskiej z wybitnym ilustratorem i projektantem, Lechem Majewskim. Piętnaście opowieści dowcipnie, poetycko i nowocześnie podejmuje tematykę polskich baśni, zaskakująco interpretując motywy ludowe i elementy folkloru. Uwzględniającą wrażliwość dzisiejszego czytelnika, przepisane na nowo i „odkurzone” bajki wypełniają wielką lukę na naszym rynku. Przyjemność czytania o Lichach, Utopcach, Dziwożonach, Boginkach, Niebożętach, Wiedźmach, Olbrzymach, góralskiej parzenicy, zakopiańskich kierpcach, koniakowskich koronkach, łowickim pasie i wielu innych cudach docenią zarówno dzieci, jak i dorośli.

Agnieszka Taborska

Licho i Inni

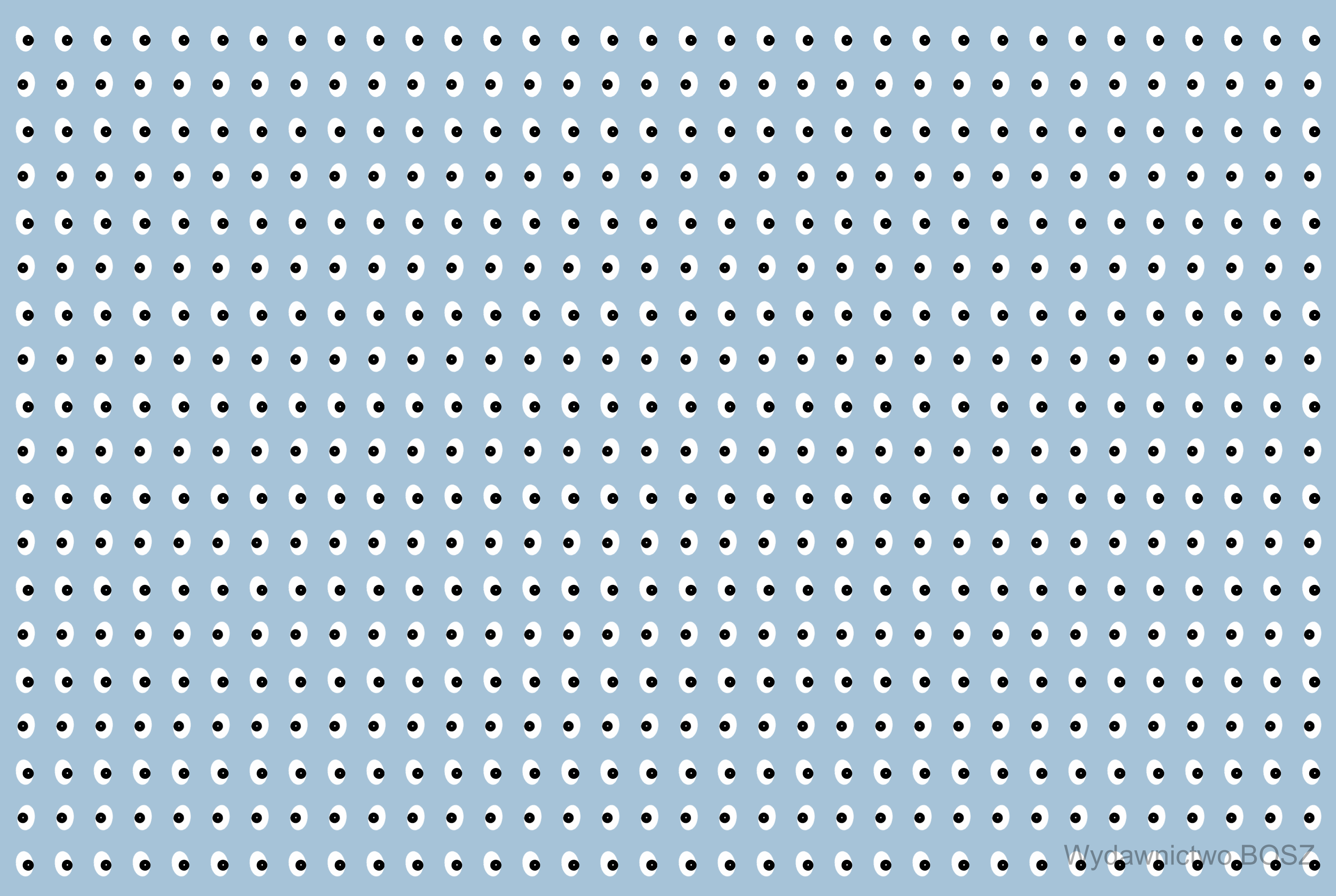


Agnieszka
Taborska

BOSZ

Ilustrował
Lech Majewski

Wydawnictwo BOSZ



L i c h o i n n i

Spis treści

Wioska inna niż inne wioski 4

Licho 6

Niebożęta 8

Boginki 10

Dziwożony 14

Wiedźma spod Dębu 16

Olbrzym 18

Utopce 20

Górska parzenica 22

Pas łowicki 26

Kurpiowskie czółko 30

Chusty chochołowskich gaździn 34

Zakopiańskie kerpce 38

Koniakowskie koronki 42

Pociąg 46



A g n i e s z k a
T a b o r s k a
I l u s t r o w a ł
L e c h M a j e w s k i

Wioska inna niż inne wioski

Pewnego razu trafiłam do mazowieckiej wioski. W wiosce – jak to w wiosce – były drewniane chałupy błękitne, w nich izby bielone, na każdej chałupie strzecha pełna koników polnych. W oknach dygoczące od upału czerwone pelargonie, drzwi zwaliste i skrzypiące, do których otwarcia trzeba było niekiedy czarodziejskiej różdżki. Przed każdą chałupą drewniana ława, a w niej rodzina uwijających się dniem i nocą korników. Kto przyłoży ucho, usłyszy ich pracowite stukania. Na każdej ławie siadywała niegdyś gospodyni w kolorowej spódnicy i dumiała nad wszechświatem. Za chałupą kamień polny, o którym gospodarze powiadali, że go za dziada pradziada babki prababki podrzucił Olbrzym.

Miedzy chałupami droga piaszczysta, wiodąca nad staw. W stawie – jak to w stawie – mieszkały Licha i Boginki. Wokół stawu rosły wierzby rosochate, szumiące, pełne dziupli. W dziuplach Krasnoludki, Niebożętami zwane. Nad wioską, nad stawem niebo bez chmurki, w rozgrzanym powietrzu zapach macierzanki. Trudno się jednak wszystkiemu dokładnie przyjrzeć, bo słońce świeci prosto w oczy, a mieniąca się w jego blasku wałka cały czas ściąga na siebie wzrok.

Niewiele więc brakowało, bym poszła dalej, nie zauważając, że ta wioska jest niby jak inne, a jednak od innych inna. Nie ma w niej bowiem mieszkańców. Nie ma pyzatyh gospodyń ani gospodarzy o żylastych dłoniach. Nie ma umorusanych dzieci ani psów Burków w kolorze błota. Nie ma kowali, nie ma karczmarzy, nie ma babuleńki zbierającej zioła, ani nawet dzwonnika drzemiącego przy kościelnej wieży. Jest tylko strach na wróble i dziwny kot. Niby to kot, ale bardziej z bajki niż z życia, bo niebieski w żółte paski. I gdy tak się dziwiłam, kot nie kot podszedł tuż-tuż, otarł się porozumiewawczo o moją nogę, mrugnął i lewym wąsem dał mi znać, by pójść za nim.

Ruszyliśmy piaszczystą drogą nad stawem, w którym pluskały się Licha i Boginki. Przebiegliśmy przez zagajnik, gdzie zza drzew machały do nas Dziwożony.

Szliśmy pod wierzbami, w dziuplach których odpoczywały w hama-kach Niebożęta. Maszerowaliśmy wśród błękitnych chałup, a nad głowami koncertowały nam koniki polne. Już mieliśmy przysiąc na drewnianej ławie, w której rodzina korników odprawiała właśnie wesele, gdy kot nie kot zobaczył mysz, szarą polną myszkę, i pomknął za nią, zapominając, że jest kotem z bajki. Jednak i mysz okazała się myszką z bajki, więc zagrała mu chudymi łapkami na spiczastym nosie i zniknęła, nim odbiegł za daleko.

Po chwili ruszyliśmy dalej. Niebiesko-żółta plama migąta przede mną w morzu zieleni, aż zatrzymała się przy pochylonej ze starości chatynce. Koło chatynki była zarosta pokrzywami studnia, koło studni leżał gliniany garnek. Garnek nie miał ucha, bo Czarne Licho dawno temu je obtłukło. Kot nie kot prawym wąsem dał mi znak. Podniosłam garnek, zajrzałam do środka, przechyliłam i na pokrzywy wysypał się deszcz pożółkłych kartek. Kot nie kot zachichotał cicho i znikł. Pochyliłam się nad kartkami, rozłożyłam je wśród pokrzyw, zaczęłam czytać.

Kartki były tak stare, że część rozsypała się w palcach. Z pozostałych dowiedziałam się o wiosce, którą mieszkańcy opuścili ze strachu przed czarami Wiedźmy spod Dębu. Przeczytałam o Niebożętach, o Lichach i Utopcach, o magicznej pajęczynie, o koniakowskich koronkach, o chustach gaździn z Chochołowa, o czepcach Kurpianek, o tęczy zastygłej w tkaninie i wielu innych cudach. Pewnie nie uwierzyłabym w to wszystko, gdybym przypadkiem nie trafiła do mazowieckiej wioski, innej niż inne wioski na Mazowszu, Podhalu, Kaszubach, Kurpiach...

Licho

Czarne Licho mieszka na dnie jeziora Gopło. Ma czarny łeb, czarny brzuch, czarne łapy i czarny ogon, nawet jęzor ma czarny i czarne myśli pod czarną czupryną. W dzień śpi pod pierzyną z mułu, w nocy pracuje. Gdy śpią gospodarze, tu im coś nadtlucze, tu popłacze, tam nadpsuje. Praca Licha jest licha, bo Licho nigdy nie doprowadza niczego do końca. Ot, choćby postanawia zbić gliniany garnek, w ostatniej chwili jednak zmienia zamiar i tylko obija ucho. Albo zamiast, jak planowało, połamać gospodyni kołowrotek, jedynie płacze jej przędzę. Dzieciom nie kradnie wszystkich zabawek, lecz tylko te, które lubią najmniej. Psu nie zabiera budy, ale ustawia tak przemyślnie, że od tej pory zawsze wieje w nią wiatr i leje deszcz. Kotu tak namiesza w łebku obietankami morza smażonych rybek, że ten przestaje łapać myszy i miauczy z głodu. A mysz, której Licho przyrzekło złote góry sera, nic innego nie robi, tylko śni, że siedzi na szczycie Giewontu z ementalera.

Tak Czarnemu Lichu mija nocą czas na szeptaniu w uszy śpiącym obiecank-cacaneek. Rankiem ludzie i zwierzęta święcie wierzą, że to wszystko najprawdziwsza prawda!

Na dnie jeziora Czarne Licho nie mieszka samo, lecz w towarzystwie innych Lich. Tamte Licha – skrzydlate, rogate i kudłate – różnią się od niego kolorem. Bywają słomkowe, poziomkowe, fiołkowe i nawet barwy opływającej je wody. Kolorowe Licha są od Czarnego mniej pracowite, ale równie złośliwe i rozmyślane w czynnościach niedokończonych. Toteż część nocy spędzają zwykle na nadpisywaniu świata: nadrywaniu, nadgryzaniu, rozklejaniu, podłamywaniu i przestawianiu rzeczy w inne miejsca. Gdy słońce wstaje nad lasem, Licha czmychają na dno jeziora, zadowolone, że znowu udało się im trochę na świecie namieszać...

Dawniej Licha pomieszkiwały głównie w wielkopolskich wsiach, przed miastami czując respekt. Wszystko się zmieniło, od kiedy Czarne Licho zawróciło w głowie pewnej poznańskiej papudze. Przekonało ją, że wyrosną jej nowe pióra, które swymi kolorami przyćmią barwy tęczy. Omamiona tą obietnicą papuga tak pracowicie zajęła się wrywaniem sobie starych wypłowiałych piórek, że wkrótce była tyla niczym podana na półmisku pieczona kaczka. Tak zaczęło się panowanie Lich w Poznaniu, a potem i w innych miastach.

Od tego czasu nie sposób znaleźć w Polsce miejsca, gdzie by się nie wdarły. Wystarczy rozejrzeć się wokół: ciekące krany, skrzypiące schody, zacinający się klucz i wypadające z drzwi klamki – wszystko to jest sprawką Lich! Nie wiadomo skąd – przez wieki siedząc na dnie Gopła – dowiedziały się prawdy o ludziach: że tylko co setny człowiek naprawi kran, naoliwi zamek i wymieni klamkę. Reszta poczeka, aż rzeczy nadpsute zepsują się do cna. Toteż Licha wylegają się w bagnie, zacierając z uciechy brudne włochate łapska. Tak im łatwo i przyjemnie nadpsuwać świat, który przez ich sprawki zacina się, skrzypi, rzezi, rozsypuje i toczy się dalej. Aż do następnej wizyty Czarnego Licha.

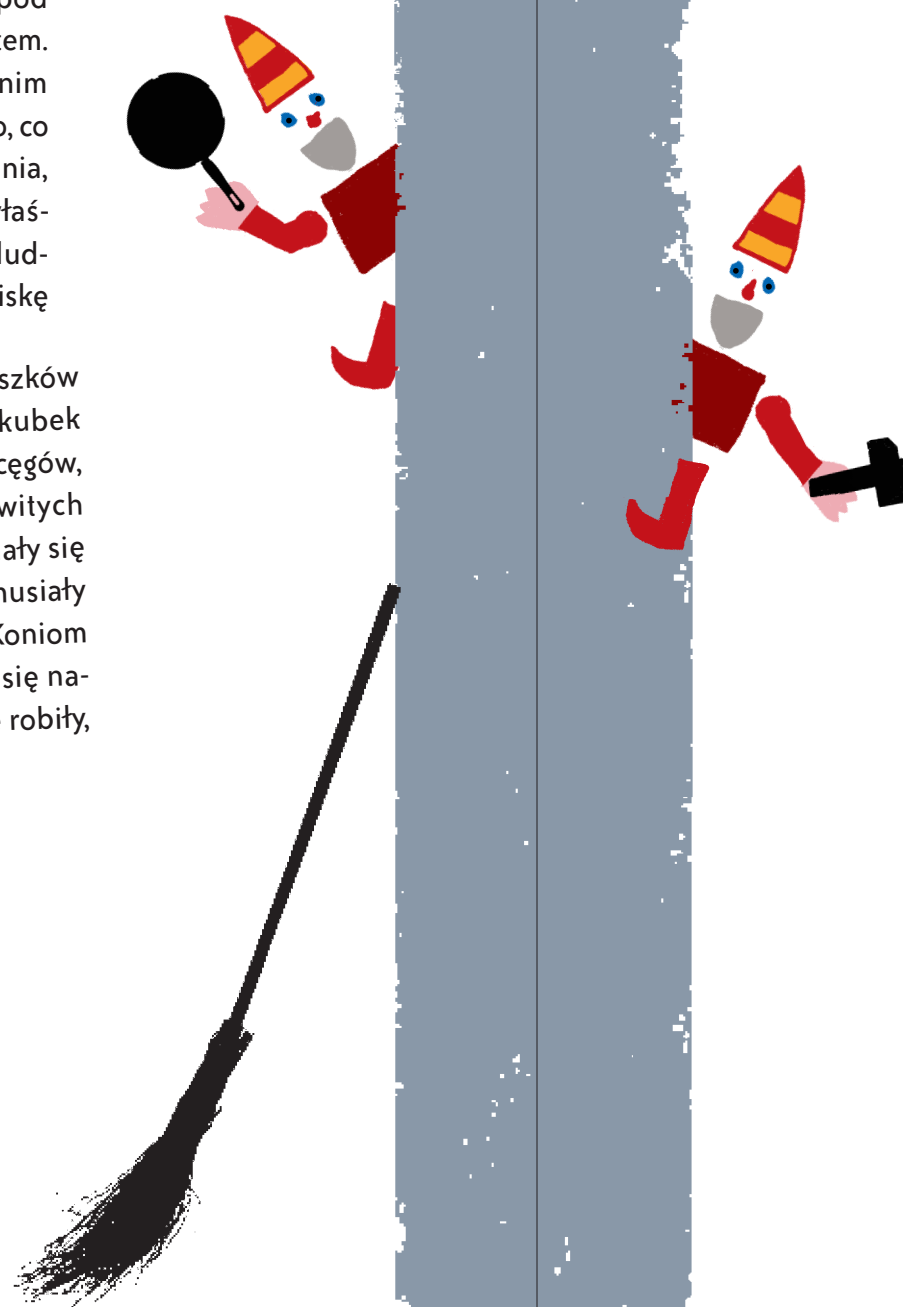
Dlatego lepiej nie mącić w Goplu wody. Może którejś nocy Licha zasną tak mocno, że zapomną o psuciu i nadgryzaniu? I wtedy znów zapanuje święty spokój. I nikt nie będzie się bał, że ktoś mu we śnie namiesza w głowie. A jeśli Licha gdzieś się jeszcze wówczas z dna Gopła ruszą, to tylko na strony książek. Ale stamtąd nie zepsują już niczego...

Niebożęta

Niebożęta – zwane też Kraśniętami, Piędzimiężykami, Domownikami, Latawcami, Skarbkami, Karzełkami lub Krasnoludkami – mieszkają pod muchomorem, w dziupli, w łupinie orzecha. Czasem dzielą norkę z kretem. Zdarza się, że wspinają się na dach, by znaleźć schronienie w bocianim gnieździe. Dawniej pomagały ludziom. Usiłowały naprawić wszystko to, co zepsuło Czarne Licho. Wielką radość czerpały ze sprzątanía, cerowania, podlewania, przynoszenia potrzebnych rzeczy i odnoszenia ich na właściwe miejsce. Gospodynie tak przywykły do krzątających się po izbie ludków, że prawie ich nie zauważały. Czasem tylko stawiały im w kącie miskę z kropelką mleka i łyżką kaszy okraszonej skwarką.

Gospodarze w polu wiedzieli, że w południe gromadka duszków w rudawych ubrankach z zajęcej sierści przytaszczy im kubek wody i pajdę chleba. Kowale nie szukali długo młota ani obcęgów, bo same do nich sunęły, pchane przez dziesiątki pracowitych rączek. Dzieci w kołysce zapominały o płaczu, kiedy pochylały się nad nimi roześmiane brodate twarzyczki. Nawet psy nie musiały się drapać, bo Niebożęta cierpliwie wyłapywały im pchły. Koniom zaś tak pięknie plotły grzywy, że siwki i kasztanki stawały się najbardziej próżnymi mieszkańcami zagrody i nic innego nie robiły, tylko podziwiałały w potoku własne odbicia.

Gdy Niebożętom udało się na chwilę wyrwać z gospodarstwa, zaraz pędziły do lasu. Rankiem rozchylały płatki kwiatom i prostowały skrzydła wykluwającym się z kokonów motylom. W południe zastępowały w śpiewaniu zmęczone upałem ptaki. O zmierzchu wiodły sarny do wodopoju. Nocą wędrowały leśną ścieżką, przyświecając sobie kawałkiem próchna i odganiając sowy od cudzych gniazd. Ani ludzie, ani zwierzęta nie wyobrażali sobie bez Niebożąt życia. Tak było długo, bardzo długo.



Aż pewnego słonecznego ranka Niebożęta przestały pomagać. Dlaczego – nie sposób dziś dociec. Może rozleniwiła je letnia pogoda? Może przeszyła dziewczynka, która zbyt długo chodziła ścieżką w lesie przy plaży, wykrzykując ten sam refren: „Krasnoludki, krasnoludki, nie uciekajcie!”. A może uważały, że ich pracę nie dość się ceni? Tak czy inaczej, ni stąd, ni zowąd, gospodynie nie mogły dać sobie rady w kuchni, gospodarze na polu słabli z głodu i pragnienia, dzieci płakały w kołyskach, psy nie umiały opędzić się od pcheł, a końskie grzywy zbijały się w kołtuny.

Nie dość, że Niebożęta nie pomagają już ludziom, psom ani koniom, ale przybierają nie swoje postaci. Podszywają się to pod świeżo wyklute bocianiątka w gnieździe na dachu chałupy sołtysa, to pod zjadające kawał dziurawego sera myszy, to pod ponurego Olbrzyma, odwiedzającego jesienią słowiańskie krainy. Zdarza się, że bura myszka spojrzy na gospodynię błyszczącymi krasnalimi oczkami, lecz zaraz wraca do zwierzęcego wcielenia. Przebieranki te jeszcze bardziej mącą ludziom w głowach.

Mądre Wiedźmy twierdzą, że Niebożęta wrócą. Pewnie wtedy, gdy najmniej będziemy się ich spodziewać. A może gdy całkiem o nich zapomnimy? W każdym razie pewnego deszczowego ranka zjawią się, by podać nam parasol lub naprawić zepsutą wycieraczkę w samochodzie. Dlatego – dopóki ukrywają się w nie swojej skórze – lepiej odnosić się do świata z szacunkiem. Nigdy bowiem nie wiadomo, czy mamy do czynienia tylko ze starą sprzączką przeznaczonego na śmietnik buta, czy też może przyczaił się w niej Krasnoludek, inaczej Niebożęciem zwany. Bo świat jest pełen tajemnic, niezwykłych zdarzeń oraz stworzeń przemienionych w coś lub kogoś innego. Toteż widząc wyglądające z gniazda pisklęta z rozdziawionymi dzióbkami, nie możemy być pewni, czy to nie przebranie. Czy przypadkiem w ptasie piórka nie ubrały się brodate ludki o pomarszczonych twarzyczkach.

Boginki

Jak suwalska ziemia – suwalską ziemią, jeziora – jeziorami, a mgły nad nimi – mgłami, nikt się nigdy tak nie zdumiał, jak zdumiał się Zbyszko, kiedy pewnego razu wracał z karczmy. Szedł lipcową nocą później niż zwykle, w głowie szumiało mu więcej niż zazwyczaj słodkiego wina i głośno wyśpiewywał o leśnych zjawach. Takie bowiem znał piosnki, nucił je od małego, nie zastanawiając się, co znaczą i komu mogą wpaść w ucho.

Kroczył nie całkiem prosto, obijał się o pnie szumiących nad nim z niepokojem drzew, potykał o wystające korzenie, rozdeptywał pierwsze w tym roku grzyby. Droga zdawała mu się bardziej kręta niż zwykle, w obolałej głowie coś dzwoniło, huczało i próbowało znaleźć sobie miejsce, choć Zbyszko czuł, że panuje już w niej straszny ścisk. Księżyc był w nowiu, z nieba mrugały gwiazdy, w rozgrzanym po upalnym dniu powietrzu pachniały zioła. Koniki polne wtórowały piosence ze zdumiewającym zapałem.

Zmęczony długą drogą i wieczorem spędzonym w karczmie, Zbyszko wynurzył się zza starego dębu i stanął nad rozbrzmiewającym żabim koncertem jeziorem. Popatrzył na odbity w wodzie srebrny sierp księżyc i poczuł, że coś jest nie całkiem tak jak zazwyczaj. Przejął go strach i ciekawość zarazem, i chęć ucieczki, póki jeszcze czas. Nie mógł się jednak ruszyć, bo jakaś przemożna siła trzymała go w miejscu, każąc wybałuszać ślepią i wpatrywać się w taflę wody, póki łązy nie zamgliły mu widoku.

Wówczas coś plusnęło, jęknęło, zaszumiało, zawirowało wokół Zbyszka i przycupniętego pod muchomorem Niebożęcia. Sypnęło im w oczy złoty pył, trwoga podniosła im włosy pod czapkami. Krasnoludek skulił się w mchu. Zbyszko dalej stał oczarowany. Przed nimi, ledwie dotykając bosymi stopami tafli wody, tańczyły Boginki, inaczej Topielicami lub Rusałkami zwane. Ubrane były w zielone szaty, otulone sięgającymi do kostek zielonymi włosami. Patrzyły ni to przed siebie, ni to na Zbyszka, ni to na księżyc w nowiu. Były tam, a jednocześnie ich nie było – tak lekko i bezszelestnie stąpały. Zdawało się, że są półprzezroczyste.

Było ich trzy, bo to liczba magiczna, ulubiona przez dobre i złe czary. O takich właśnie leśnych zjawach chwilę wcześniej Zbyszko wyśpiewywał, maszerując niepewnym krokiem leśną drogą. „Co wypowiesz w złą godzinę, sprawdzi się szybciej, niż czarny kot zajrzy w głąb komina” – przypomniła mu się przepowiednia Babuleńki zbierającej zioła. Kilkakrotnie słyszał to dziwne zdanie i za każdym razem śmiał się z zabobonów staruszki.

Tymczasem Boginki wciąż wirowały, ale wolniej, jakby w półśnie. Teraz już nie spuszczały ze Zbyszka oczu. Ten czuł, że słodkie wino, jeszcze przed chwilą szumiące mu w głowie, nagle wywietrzało, jakby wcale tego wieczoru nie wstąpił do karczmy. Czuł, że cały się topi niczym zapomniana na piecu osetka masła. Nie wiadomo, ile czasu minęło. Dość, że zdziwiony długą ciszą Krasnal wyjrzał z kryjówki, zerknął na Boginki, zerknął na Zbyszka, po czym jeszcze głębiej zakopał się w mchu i na wszelki wypadek zakrył oczka zeschniętymi liśćmi.

Zielone szaty, zielone włosy, powabny taniec i tęskne spojrzenia – to jeszcze nie koniec rzucanego przez Boginki czaru. Wkrótce rozległ się śpiew. Ni to wesoły, ni smutny, ni to szybki, ni wolny, ni to głośny, ni cichy. Raz pieśń zdawała się płynąć z ust jednej Boginki, to znów nuciły ją wszystkie trzy. Temu już Zbyszko nie mógł się oprzeć. Nie bacząc na moczary ani na wiatr, który się raptem zerwał, ruszył ku jezioru. Próżno spod mchu wołał za nim Krasnal drugą przepowiednię Babuleńki: „Co zobaczysz w noc, gdy księżyc w nowiu, nie całkiem przyjdzie z tego świata!”.

Bo rzeczywiście, Boginki podobne były do wiejskich dziewcząt, a zarazem niepodobne. Jak córki gospodarzy, miały wianki we włosach, lecz uplecione z kwiatów z odległej krainy. Płynęła od nich woń niepokojąca i odurzająca. Zauważyłby Zbyszko te dziwy, gdyby czar nie zawładnął nim do reszty.

Szedł jak lunatyk, z uszami pełnymi śpiewu i wzrokiem utkwionym w zielone pukle, zielone szaty i wianki o nieznanej barwie, więc nie słyszał ani wołania Krasnala, ani ostrzegawczego pohukiwania wyglądającej z dziupli Sowy.

Boginki przestały wirować. Kołysały się teraz w miejscu, wyciągając do Zbyszka oblepione wodorostami ręce. Był na tyle blisko, że widział, jak blade mają twarze i jak patrzą spod przymrużonych powiek z ironicznym uśmiechem. Mógł rozróżnić słowa piosenki: chłopiec, bagno, wodna głębina, topielcy, załaskotanie na śmierć... Poczuł niepokój, a mimo to sunął dalej, bo zatrzymać się już nie mógł.

Szczęśliwie skradał się za nim Krasnoludek.

W ostatniej chwili Krasnal wydostał się spod mchu, zrzucił z siebie zeschnięte liście i na złamanie karku pognął na ratunek. Nie darmo żył sto lat, nie darmo obok Sowy i Babuleńki był najmądrzejszym mieszkańcem lasu. Dobrze wiedział, czym się w noc, gdy księżyc w nowiu, kończą spotkania z Boginkami. Wiedział, że jeśli na czas nie zada właściwego pytania, słuch po Zbyszku przepadnie. Jak inni przed nim wejdzie w bagno za daleko, wpadnie w topiel i zginie w objęciach roześmianych Boginek, które przerwą na chwilę piosenkę, by w milczeniu cieszyć się nową zdobyczą.

Krasnal znał pytanie, które mogło pozbawić Boginki magicznej mocy i zdjąć czar z ich ofiary. Uratował już niejednego parobka zagubionego w drodze z karczmy i nie przypadkiem spacerował tego wieczoru brzegiem jeziora.

Toteż gdy Zbyszko już-już wyciągał rękę ku przywołującym go oślizgłym, zielonym ramionom, Krasnoludek chrząknął, przetknął ślinę i zapytał donośnym głosem:

– A czemuż to, moje panny, tak kręcicie się w koło?

Efekt był piorunujący. Boginki zastygły w niedokończonym geście, Zbyszko jakby otrząsnął się ze snu, Sowa z westchnieniem ulgi znikła w dziupli i nawet księżyc otarł z wychudłego oblicza kroplę srebrzystego potu.

Krasnal czekał na odpowiedź. Boginki patrzyły po sobie całkiem już przytomnym, pełnym zakłopotania wzrokiem. Zbyszko przestał je nagle interesować.

– Zawsze to samo – mruknął Krasnal do przysłuchującej się z ciekawością Żaby.

Do świtu zostało jeszcze dość czasu, by Boginki zastanowiły się nad odpowiedzią. Zbyszko, Krasnal i Żaba zasiedli w oczekiwaniu na zroszonej rosą trawie. Milczenie przerwała Pierwsza Boginka:

– Kręcimy się, tańczymy i zwodzimy wracających z karczmy parobków, by wypełnić czymś czas.

– Bo gdy nic nie robimy, patrzymy na księżyc, zaczynamy rozmawiać, mówimy o tym i owym... – dorzuciła Druga.

– I sprzeczka gotowa – wyjaśniła Trzecia.

Krasnoludek pokiwał ze zrozumieniem głową w czerwonej czapie.

Żaba ze zdziwienia nadęła i tak już pękate gardło. Tylko Zbyszko zdawał się nie słyszeć, zajęty wypatrywaniem pierwszych odbłasków świtu na niebie.

– Jedno jest rozwiązanie, by ta sama historia nie powtórzyła się kolejnej nocy – rzekł mądry Krasnal. – By Boginki nie przeziębiały się, tańcząc w mokrych sukienkach, a młodzieńcy nie tonęli w moczarach. Mam, co trzeba, by wszystkiemu zaradzić.

I z czerwonej kieszonki wyjął talię kart. Talia była duża jak na miniaturową kieszeń, a na obrusie z liści zdawała się jeszcze większa.

Boginki zaklaskały z uciechy, Zbyszko oderwał wzrok od nieba, Żaba zadrżała z niecierpliwości, była bowiem nałogowym graczem. I tak Krasnal raz jeszcze dał dowód mądrości godnej filozofa.

Od tego czasu w każdą noc, gdy księżyc jest w nowiu, nad brzegiem suwalskich jezior spotkać można pochylone nad kartami postaci. To Boginki w suchych i nie zawsze zielonych sukienkach, wracający z karczmy zmęczony młodzieniec, Krasnal, co ma radę na wszystko, oraz wygrywająca każdą partię Żaba w błyszczącym żabocie. Jedna z Boginek zdradziła mi, że najchętniej grają w bezika.

Dziwożony

Nazwę „dziwożony” wymyślili mężowie z podhalańskiej wsi Łopuszna. Własne żony zdawały się im tak dziwne, że zaczęli szeptać między sobą: „Co jeszcze te nasze dziwożony wymyślą?”. Wszystko zaś wzięło się stąd, że żony, znudzone zwyczajnymi czynnościami, postanowiły urozmaicać je odrobiną magii. Piekąc wielkanocne ciasto, do zwykłych składników dodawały nitkę pajęczej sieci utkanej w pierwszą po Bożym Narodzeniu księżycową noc. Do gotowanej na Wigilię grzybowej zupy dorzucały szczyptę zmielonych płatków bławatka, zerwanego w noc świętojańską nad Żabim Stawem. Cerując znoszone portki gazdy, zaszywały w nich okruszki chleba z mąki barwionej sadzonymi na rozstaju dróg burakami. Zamiatając izbę, w wysprzątany kącik podrzucały sklejoną z opłatków ozdobę zwaną „światem”. Nie czekając na jasełka, przebierały dzieci za diabły i czarownice. Mężom zaś zadawały tyle zagadek, że gazdowie nigdy nie byli pewni, czy dziwożony mówią serio, czy też nie.

Wszystkie te zabiegi dodawały dziwożonom mnóstwo pracy, lecz sprawiały zarazem, że życie było ciekawsze. Dlatego gdy tylko żona została dziwożoną, nigdy więcej nie chciała wrócić do dawnej roli!

W rozmowach z górkami z sąsiednich wsi dziwożony z taką pasją opisywały swoje magiczne sztuczki towarzyszące gotowaniu, cerowaniu, pieczeniu, sprzątaniu i chowaniu dzieci, że w ich ślady szły coraz to nowe gaździny. Toteż coraz więcej mężów łamało sobie głowy nad zagadkami. Po wiejskich gościńcach biegało coraz więcej dziatwy w jasełkowych przebraniach. Z kątów wyglądało coraz więcej opłatkowych ozdób. Na rozstajach dróg rośło coraz więcej buraków. Coraz trudniej było znaleźć bławatki nad Żabim Stawem. I coraz lepiej wiodło się mieszkającym w chałupach pająkom.

Złośliwi rozpuszczają plotki, że dziwożony są przebranymi strzygami. Że biegają po lesie rozczochrane, z wypiekami na twarzy, w dziurawych sukienkach, że huczą, straszą, atakują wędrowców, zarzucają im na głowy brudne płachty i wysysają krew! Albo że nocą latają pod postacią sów, wykradają z gniazd pisklęta i zjadają na śniadanie. Po czym wracają do domu jakby nigdy nic i zdradzają je tylko przyklepione do podartej sukienki piórka.

Wystarczy jednak jakąś dziwożoną poznać, by wiedzieć, że to puste gadanie. Bo dziwożony to najlepsze z żon: nie dość, że uwijają się za trzy, śmieją się częściej niż inne kobiety, to wyobraźnię mają tak wielką, że przestała się mieścić w Łopusznej. Zawładnęła całym Podhalem i małopolskimi miastami, dotarła na Śląsk i nie minęło pół roku, a pierwsze dziwożony zadziwiły bałtyckich rybaków. Rybacy wcale się jednak przemianą żon w dziwożony nie zmartwili. Wiedzą bowiem, że życie z nimi jest weselsze i ciekawsze. I że im więcej małżonek zmieni się w dziwożony, tym więcej będzie na świecie magii i humoru. Co z tego, że dla kawału podrzuca czasem mężom w sieci przebrane za Boginki brodate Niebożęta?

Wiedźma spod Dębu

Wiedźma wiedziała, jak wyjść z każdej opresji. Zawsze potrafiła znaleźć właściwe porzekadło, które pomagało w trudnej sytuacji. Słusznie więc uchodziła za najmądrzejszą mieszkankę Beskidów.

Kochały się w niej wszystkie drzewa i każde marzyło, by pod nim zamieszkała. Ona jednak z całego lasu upodobała sobie dąb. Dlatego zwano ją Wiedźmą spod Dębu. Nikt nigdy inaczej o niej nie mówił.

Wybrała go dlatego, że byli w tym samym wieku. Mieli po dwieście lat i podobne wspomnienia z dzieciństwa, choć Wiedźma – dzięki czernieniu brwi węglem i malowaniu policzków sokiem z buraków – wyglądała młodziej. Jej dąb rósł na Babiej Górze pokrytej naznoszonymi tu kiedyś przez Olbrzyma kamieniami. Od dawien dawna Babia Góra była siedliskiem czarownic. Z czasem jednak czarownice poprzemigowały się do miast i miasteczek i tradycji czarodziejskiego miejsca broniła tylko Wiedźma spod Dębu.

Zimą dąb pojękiwał pod czapą ze śniegu, wiosną myślał tylko o żółędziach, szumił tajemniczo latem, a jesienią żółędzie opłakiwał, żegnając się z nimi na zawsze. Pod dębem kiwała się chatka na kurzej łapce. Jak inne takie chatki, potrafiła przeskakiwać z polany na polanę, a nawet biegać z szybkością sarny. Lecz od kiedy zagłębiła pazurki w mchu pod dębem, przestała myśleć o dalszych podróżach.

Raz tylko – gdy Wiedźma śniła na łóżku z piernika – chatka dla żartu wymknęła się nocą z lasu i udała na przechadzkę. Cichutko, wolniutko, uważając, by żaden piernik nie przekrzywił się pod materacem Wiedźmy, podreptała do wioski leżącej u stóp Babiej Góry. Przystanęła tam na gościńcu, popatrzyła na chrapiące pod kołderkami z mgły chałupy, pogrzebała łapką w ziemi, po czym sama zapadła w drzemkę. Spała na tyle długo, że po przebudzeniu nie poznała wioski. Mieszkańcy albo przestraszyli się czarów Wiedźmy, albo uznali, że pojawienie się chatki na kurzej nóżce to dobry pretekst, by zmienić adres. Tak czy inaczej, wioska świeciła pustką. Znikli wszyscy prócz szaroburego kocura. Jeszcze tego samego dnia Wiedźma w nagrodę przemieniła go w kota z bajki: niebieskiego w żółte paski! Długo Wiedźma z chatką w wiosce nie zabawiły. Szybko wróciły na Babią Górę i na pamiątkę ich wizyty został tylko ten dziwny kot.

Na Babiej Górze Wiedźma czarowała, zmieniając codzienność w magię. Ponoć wykorzystywała do czarów niezauważane przez ludzi chwile między czynnościami i zdarzeniami, kiedy czas na moment się zatrzymuje. Niekiedy dzieje się tak tuż przed świtem, kiedy indziej w samym środku dnia. Wsłuchując się w czas i świat, Wiedźma spod Dębu czarowała szybciej i skuteczniej niż poprzednie mieszkanki Babiej Góry. „Deszczyk pada, słońce świeci, czarownica masło kleci” – nuciła, przekonana, że czary wychodzą najlepiej, gdy spotykają się przeciwieństwa: słońce i deszcz, dzień i noc, upał i zimno.

Sz szczególnie pięknie czarowała 23 czerwca, w hucznie obchodzoną na Babiej Górze noc świętojańską, czyli kupalnockę. Boginki tańczyły wtedy wokół ognisk, Licha usiłowały przeskakiwać nad płomieniami, a Wiedźma odprawiała sobie tylko znane obrzędy nad kwitnącym przez tę jedyną noc kwiatem paproci.

Od świtu do nocy czarowała też 13 grudnia, w dzień świętej Łucji, święto czarownic. Skradała się wówczas wokół chat i obejść, mruczała coś pod nosem, zataczała kręgi, czyniła zamaszyste gesty, posypywała czymś drogę i skrapiała olejkami przykryte śniegiem sosenki. Niektórzy mówili, że to tylko pozór i teatr, i że Wiedźma jest nade wszystko świetną aktorką. Ale to puste gadanie.

Dziś Wiedźma spod Dębu nie mieszka już w chatce na kurzej nóżce, bo i chatce należał się odpoczynek, i Wiedźma chciała odmiany. Chatka zaszyła się gdzieś w lesie i słuch po niej zaginął. Może wprowadziły się do niej węże i polne myszki, a może chce być wreszcie pusta i zająć się sobą? Wiedźma zaś żyje sobie spokojnie pod postacią Babuleńki zbierającej zioła. Gada do nich ich językiem i rozumie, co jej odpowiadają. Gwarzy z kopytnikiem, bylicą, macierzanką, miętą, piołunem, bławatkiem i krwawnikiem. Wie, jakie czary odprawić, by pomogły w chorobie. Na półkach w nowej chatce trzyma tajemnicze słoje, które przy bliższym wejrzeniu okazują się wypełnione konfiturami. Ma zdanie na każdy temat, ale nie odzywa się zbyt często. Może kiedyś ją spotkaliście, choć pewnie nie przyszło wam do głowy, że to najprawdziwsza Wiedźma spod Dębu.

Olbrzym

Mimo potężnej postury i ciężkiej wagi, Olbrzym jest najuprzejmiejszym z żyjących na Kaszubach stworzeń. Kłania się na prawo i lewo, rozsyła promienne uśmiechy, maskując w ten sposób nieśmiałość. Nie wiadomo, ile ma wzrostu, chodzi bowiem lekko pochylony, zawsze gotów wysłuchać niższych od siebie ludzi. Nikt jednak nic do niego nie mówi, bo wiadomo, że tak wysoko żadne słowa nie doleczą.

Odległość dzieląca ludzi od uszu Olbrzyma była powodem wielu przykrych nieporozumień. Dawno temu, gdy poszła pogłoska, że jego największym marzeniem jest pomaganie innym, Kaszubi zaczęli prosić go o rozmaite przysługi. Do tkwiącej w obłokach głowy docierały jednak tylko urywki zdań, Olbrzym przeinaczał więc prośby: przenosił głaz nie tam, gdzie go proszono, dach kładł szczytem do dołu, studnię kopał pośrodku sadu, burzył świeżo postawiony dom zamiast przeznaczonej pod rozbiórkę chałupki....

Jakby nie dość było tych nieszczęść, swoją rozczochraną czupryną co chwila przedziurawiał chmury, sprowadzając na Kaszuby potoki deszczu. Gdy tylko się pojawiał na kaszubskich plażach, w tamtejszych lasach i nad jeziorami, zaraz psuła się pogoda i dobry humor mieszkańców, którzy coraz bardziej na Olbrzyma pomstowali.

Cóż więc pozostało osobie tak wrażliwej i niechęcej nikomu zawadzać? Jedno tylko wyjście miał Olbrzym i czym prędzej z niego skorzystał. Usunął się Kaszubom z drogi, ułożył w lesie pod kołdrą z głazu i uciął sobie drzemkę. Zrobił to tym chętniej, że spanie pod głazem zawsze było jego ulubionym zajęciem. Dotąd jednak nie pozwalał sobie na nie zbyt często, uważał bowiem, że ma obowiązki wobec gospodarzy tej malowniczej krainy.

Od tamtej pory śpi sobie w najlepsze. Czasem tylko budzi się na krótko, by pospacerować po okolicy i przenieść gdzieś ten czy ów kamień, któremu znudziło się leżenie w jednym miejscu. Jak wiadomo, kamienie rosną podczas deszczu, a że przez czuprynę Olbrzyma kaszubski klimat popsuł się na dobre, głazy pęcznią tu szybciej niż gdzie indziej. Prędzej też robi im się przez to niewygodnie w starych legowiskach, więc bardzo cenią sobie pomoc przy zmianie adresu. Po każdej przeprowadzce śmieją się cicho pod porośniętym mchem nosem, gdy słyszą, jak ludzie nie mogą się ich wędrówkom nadziwić. Podczas tych czynności Olbrzym spotyka niekiedy zaciekawione niezwykle widowiskiem dzieci. Mruga wtedy do nich porozumiewawczo znad wierzchołków drzew, po czym zaraz czmycha pod swój głaz i zapada w drzemkę. Śni, że jest Niebożęciem, nie zwraca na siebie niczyjej uwagi i Kaszubi bardzo go kochają. Z takiego snu budzi się niechętnie. Wstaje tylko wówczas, gdy czuje, że znów jakiś kamyk nie może sobie bez niego poradzić.



Utopce

Spotkaliście kiedyś Utopca? Z pewnością tak, choć może nawet o tym nie wiecie. Utopce dobrze się kryją i często bierze się je za kogoś całkiem innego. Kim naprawdę są, ukrywają ze strachu, że wyślemy je z powrotem tam, skąd przybyły.

Jak świat światem, Utopce mieszkają na dnach rzek i jezior. Siedziały tam w grząskiej zielonkawej mazi, czekając, aż przez wodę będzie się przeprawiał jakiś hultaj, który sporo ma na sumieniu. A to pan niesprawiedliwy, a to złodziej kościelnej skarbonki, a to próżna panna, która swoje złote warkocze wyżej ceni od świętego obrazka nad zwierciadłem. Godzinami Utopce sterczały na błotnistym dnie, szczękały zębiskami, dygotały z zimna, starając się otulić za krótkim szalikiem, i złorzeczyły na legendę, która obsadziła je w tak niewdzięcznej roli!

Ich zadaniem było złego pana tak nastraszyć, żeby więcej nie zabierał grosza poddanym. Złodziei skarbonki kościelnej wpędzić w takie tarapaty, że czym prędzej zawracali ze zdobyczą, oddawali, co kradzione, i czmychali za siódmą górę i siódmą rzekę. Najwięcej zachodu było jednak z próżnymi pannami. Ledwie się taka w okolicy znalazła, a już król Utopców rozkazywał któremuś z poddanych, by spotkał ją niby przypadkiem na dziurawym mostku pod Cichą Wólką. Tam miał się do niej zalecać, przytupywać mokrym kopytem, podtykać czerwone wstążki i błyszczące korale, prosić do tańca, kołysać w rytm kumkania żab i cykania świerszczy, a o wschodzie księżyca pociągnąć ją za sobą w mroczne odmęty Buğu czy Narwi.

Ale na tym nie koniec. Musiał ją jeszcze poślubić w podwodnej jaskini, udekorowanej na takie okazje srebrnymi pstrągami, i spędzić wspólnie w rzecznej kipieli długie lata, aż się oblubienicy poprawi charakter. To znaczy – aż się stanie skromna i nieciekawa własnego wyglądu. A że w wodnym domostwie wszystkie lustreczka odbijały tylko muł i ślimaki, można się tam było próżności wyżyć.

Trudno się zatem dziwić, że Utopce miały wreszcie dość. Uznały, że lepiej stracić utopcowe przywileje, niż bez końca uganiać się za czeredą źle postępujących panien i panów. Zresztą przywileje te nie były znów aż tak wielkie. Bez trudu można się było obejść bez raków serwowanych na śniadanie przez Straż Utopcową w zielonej liberii. Bez kowala, szlifującego Utopcom co tydzień kopyto niezadowolonym jeżem. A nawet bez odgrywanych na ich cześć żabich koncertów. Byle tylko nie biegać za okrutnymi możnowładcami, nie ścigać zawsze tak samo pazernych złodziei skarbonek i nie żenić się z ponurymi, humorzastymi dziewczuchami!

Toteż pewnego dnia Utopce opuściły świeżo poślubione żony, przestały się przejmować paniczem hulaką i zostawiły złodziei własnemu losowi. Od tego czasu wędrują po świecie. Nie naprawiają już ludzi, ale chętnie ich obserwują i z przyzwyczajenia notują wszystko w zawilgłym zeszytce. Są stokroć szczęśliwsze niż na dnie jeziora Śniardwy czy w odmętach Odry pod Opolem, rzadziej się przeziębają i korzystają z życia, jak mogą. Rola kronikarzy dziejów odpowiada im znacznie bardziej niż funkcja podwodnych strażników.

Najłatwiej spotkać Utopce w dzień deszczowy. Wylegają wówczas na ulice Poznania, Łodzi czy Wrocławia, pewne, że w ulewie nikt ich nie rozpozna. Przemoczone i szczęśliwe, z upodobaniem spacerują bez parasoli. W obawie przed ludzką ciekawością skrzętnie ukrywają pozostałe im z poprzedniego życia cechy. Pod kapeluszami chowają wiecznie mokre włosy w kolorze wodorostów i mają nadzieję, że w tłumie nikt nie zauważy kąpiącej im z płaszczy wody.

Dlatego jeśli spotkacie Utopca, lepiej się nie zdradzać, że go rozpoznaliście. Po co wprawiać go w zakłopotanie? Wędrując w deszczu, nie robi przecież nikomu nic złego.



Góral ska parzenica

Maciek Nierobek nic nie robił. Zimą leżał na piecu. Latem w dzień siedział pod leszczyną, nocą odpoczywał na przyzbie, licząc gwiazdy. Nigdy jednak nie doprowadzał rachunku do końca, zbyt go to bowiem męczyło. Maciek Nierobek był małomówny, bo nie chciał na mówienie tracić niepotrzebnie sił. A gdy zdarzało mu się otworzyć usta, padało z nich zawsze to samo zdanie: „Ileż to się musi człowiek w życiu namęczyć!”.

Mało kto próbował nawiązać z nim rozmowę, bo wszyscy już tę śpiewkę znali na pamięć. Maciek Nierobek nie miał znajomych, gdyż spotkania i wizyty wymagały chęci, której nie mógł z siebie wykrzesać. Miał za to rodzinę: żonę i trzy pracowite córki. I tak to już zawsze było, że gdy on drzemał na piecu, odpoczywał pod leszczyną albo liczył gwiazdy, kobiety pracowały. Kiedy gramolił się na piec, zamykały izbę. Gdy z lewego boku przewracał się na prawy, ukrecały masło w maselnicy. Gdy zapadał w sen, wałkowały ciasto na pierogi. Kiedy rozwalony na trawie leniwie śledził lot śpieszącej się gdzieś pszczoły, wychodziły w pole. Tam orały, siały, kosiły i wiązały snopki siana. Maciek Nierobek tymczasem odpoczywał.

Tak mijały lata. Żona i trzy córki tyle miały pracy, że przestały Maćka Nierobka zauważać. On zaś zmęczony był coraz bardziej. Im dłużej spał, im wygodniej mościł się pod leszczyną, im wolniej liczył gwiazdy, tym mniej miał sił i tym więcej trzeba mu było odpoczynku. Życie Maćka Nierobka i życie jego żony i córek płynęły obok siebie, rzadko się spotykając. Gdyby któregoś dnia znikł, pewnie by tego nie zauważyły.

Maciek Nierobek, żona i trzy córki mieszkali w malowniczej części wysokogórskiej krainy. Na góry – zwane Tatrami – mieli rozległy widok. Szczególnie z Maćkowej perspektywy, spod leszczyny czy z przyzby, szczyty zdawały się sięgać nieba. I zimą, i latem przykryte białą pierzyną, zawsze na baczność przed Maćkiem Nierobkiem.

Któregoś roku tak się Maciek Nierobek na góry zapatrzył, że przestał wstawać spod leszczyny. Raz młodsza, raz średnia córka przynosiły mu wikt, bo żona i córka najstarsza całkiem już o nim zapomniały.

Było tak aż do pewnego niezwykłego zdarzenia, które zmieniło wszystko w Maćkowej chałupie. Pod leszczyną Maciek Nierobek nie mieszkał sam. Towarzyszył mu pająk, większy i pracowitszy od swoich sióstr i braci. Mijały tygodnie, a on coraz bardziej przybliżał się do Maćkowej nogi. Któregoś dnia o zmierzchu zaczął tkąć nową sieć. Maciek Nierobek nawet tego nie spostrzegł. Coś go wprawdzie łaskotało w udo, ale kto by się wysilał, by odwrócić głowę. A może nie ma tam nic godnego uwagi i cały trud okaże się daremny?

Przez wiele dni Maciek Nierobek tylko spał, jadł, liczył trzy pierwsze gwiazdy i nie przewracał się nawet z boku na bok, bo i to zdawało mu się zbyt męczące. A pracowity pająk tkął bez ustanku. Na kolanie Maćka Nierobka magazynował kłębki białej nici, którą rozprowadzał niezmordowanie po Maćkowym udzie, rzucając niekiedy na twarz śpiącego badawcze spojrzenie. A był to pająk niegłupi, nosił w sobie mądrość wielu pokoleń zwierząt i owadów z Maćkowej doliny.

Po siedmiu dniach i siedmiu nocach bezustannego tkania dzieło było gotowe. W księżycowej poświacie mieniła się pajęczyna wszech czasów: gęsta, mocna, odporna na wiatr, deszcz, a nawet na ruchy Maćka Nierobka, gdyby niespodzianie postanowił ułożyć się w nieco innej pozycji. Rozpięta między gałązkami cherlawego krzaczka przylegała do zmęczonej tak długim odpoczywaniem Maćkowej nogi.

I wówczas... Może wszystkiemu winna była lipcowa noc, światło księżyca, żabi koncert albo woń drzemiących po upalnym dniu kwiatów? Dość, że na widok tak niezwyklej pajęczyny Maciek Nierobek po raz pierwszy od niepamiętnych czasów otrząsnął się z nicnierobienia, jakby się budził z zimowego snu.

Przetarł zaspane oczy, pokręcił głową, rozejrzał się z niedowierzaniem i ostrożnie wstał, przyciskając pajęczynę do portek z jasnego sukna. Pajęczyna oderwała się od lichego krzaczka i przylgnęła do Maćka. On zaś ruszył przez polanę, przez las i pole aż do chałupy, gdzie spały żona i trzy pracowite córki. Zbudzone skrzypnięciem drzwi, usiadły na łózkach i wybałuszyły oczy ze zdumienia. Przed nimi stał Maciek Nierobek, ale jakiś inny, dziwnie promienny. Uśmiechał się i zacierał gotowe do roboty dłonie. Nim przyszedł świt, narąbał drewno do kuchni, naniósł wody ze studni, oczyścił zdziwionego konia i naprawił dach, który od siedmiu lat przeciekał w każdy deszczowy dzień i deszczową noc.

Choć żona i trzy córki nie spuszczały z Maćka oświeconego wzroku, nie od razu spostrzegły pajęczynę. Ta zaś ani drgnęła, gdy machał siekierą, kręcił korbą studni, uwijał się po stajni i łaził po drabinie. Pięknie błyszczała w świetle księżyca, a potem świeciła w pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

Od tamtej pory minęły lata. Dawnego przezwiska Maćka Nierobka nikt we wsi nie pamięta, od kiedy okrzyknięto go Maćkiem Co Robi Za Trzech. Bo i rzeczywiście, od owej pamiętnej nocy Maciek ani razu nie siadł na przyzbie, ani razu nie położył się na piecu, ani razu nie policzył gwiazd, stara leszczyna zaś musiała przyzwyczaić się do samotności. Maciek Co Robi Za Trzech pracuje i pracuje, śmiejąc się do żony i odpoczywających na przyzbie córek.

A siłę do roboty daje mu mieniąca się ognistymi kolorami na jasnych portkach parzenica. I tylko Babuleńka, co jak nikt inny zna się na leśnych cudach, wie, że to pajęczyna zaczarowanego pająka, która tamtej nocy odmieniła Maćka. Babuleńka nic a nic jednak nikomu nie mówi, tylko z zadowolenia zaciera chude rączyny. Cieszy się, że żona i trzy pracowite córki mogą wreszcie odetchnąć na przyzbie.



Pas łowicki

Deszcz padał tak, jakby dwunastożebowe widły przebiły chmurę, wywołując nieskończony potok łez. Padało jeden dzień, i drugi, i trzeci. Padało siedem dni, siedem nocy, siedem tygodni i siedem miesięcy, i kiedy zbliżała się siódma rocznica początku ulewy, Jasiek łowiczanie dostał czkawki. Może jedno z drugim nie miało wiele wspólnego, jednak sam Jasiek uważał inaczej. Tak był już bowiem tym deszczem zmęczony, tak zmoknięty i zziębnięty, że – jak twierdził – prędzej czy później czkawka musiała go dopaść.

Jasiek Czkawiec miał siedem córek. Wszystkie lubiły czytać i znały się na literaturze. Pierwsza kochała poezję. Druga – romanse. Trzecia – powieści historyczne. Czwarta i piąta wołały opowiadania o tym, jak to było na ich łowickiej ziemi w dawniejszych czasach. Szósta czytała to, co w tajemnicy przed pozostałymi pięcioma siostrami pisała siostra siódma, ta zaś nie brała do ręki niczego, co nie wyszłoby spod pióra siostry szóstej. Wszystkie córki były tak znużone monotonią codziennej ulewy, że tym chętniej uciekały w świat opisany w książkach. Na ich kartach znajdowały miejsca słoneczne, suche, bezdeszczowe.



Utrudzone słońce wreszcie zaszło. Pierwsza córka zamknęła tomik wierszy, druga doczytała romans do końca, trzecia odłożyła na później grubą powieść historyczną, czwarta z piątą zadumały się nad smutnym opowiadaniem, szósta schowała pod poduszkę książkę siódmej, siódma zaś – szóstej, a Jasiek dalej tkwił pośrodku drogi. Na czarnej kamizeli pysznił się pas, w który zmieniała się tęcza. Jasiek nigdy o niczym podobnym nie słyszał, ale kto wie, jakie cuda mogą się zdarzyć po tylu latach ulewy?

Najbardziej dziwiło go to, że zaczarowana tęcza upatrzyła sobie właśnie jego kamizelę. Gdy stanął w drzwiach domu, tęchowy pas nadal ją zdobił. Córki na ten widok tak się zdumiały, że zapomniały o książkach i aż do następnego ranka nie wróciły do lektury. A Jasiek gładził pas i nie mógł uwierzyć, że jeden dzień przyniósł mu tyle szczęścia naraz: koniec ulewy, kres czkawki i nowe życie w stroju tak zdobnym, że każde lustro będzie marzyć o jego odbiciu! Nie wiedział, że to dopiero początek zmian na łowickiej ziemi.



Gdy córki czytały, Jasiek Czkawiec przechadzał się w śnieżnobiałej koszuli z pięknie haftowanym kołnierzem, na którą wdziewał czarną kamizelę. Wyglądał odświętnie, lecz taki strój niewiele chronił go przed deszczem. Był więc coraz bardziej zły i zmarznięty. Na nic zdawały się namowy córek, by siedział w chałupie zamiast spacerować tam i z powrotem po błotnistej drodze, wypatrując przejaśnienia i końca ulewy. Jasiek Czkawiec był uparty, tak jak uparta była jego czkawka.

I gdy któregoś dnia paradował tak po grząskiej drodze, gdzie – czkając raz po raz – wyczekiwał zmiany pogody, zza chmury wyjrzało nagle zachodzące słońce. Spojrzało, zdumiało się na widok samotnego człowieczka w morzu błota, po czym wielkim wysiłkiem przedarło się przez padający od siedmiu lat deszcz. I wówczas na niebie wykwitła tęcza...

Z początku jeszcze nie całkiem dorosła, trochę wyblakła i nieśmiała, odbiła się w kałuży pośrodku drogi i przejrzała w modrych oczach Jaśka Czkawca. W tym właśnie momencie czkawka wstrząsnęła Jaśkiem tak gwałtownie, że przestraszona tęcza znieruchomiła na jego czarnej kamizeli z białymi guzikami. Chwilę później czkawka raptem ustała, zapominając, jak dobrze i wygodnie się jej w Czkawcu mieszało. On tymczasem patrzył zdumiony na własne odbicie w kałuży. Kamizelę przecinał mu tęchowy pas.

Przez noc córki śniły o bohaterkach swoich książek, a Jasiek ani na chwilę nie zmrużył oka. Bał się, że gdy zaśnie, pas wróci o świcie na niebo. Ale nazajutrz wzeszło słońce, a on dalej tkwił na Jaśkowej kamizeli. Przyszedł czas pokazać go sąsiadom.

Wpierw zastukał Jasiek do Grubego Wojtka, co mieszkał za miedzą w pstrokato malowanej chałupie. Gruby Wojtek nie otworzył od razu, bo z powodu słusznej tuszy poruszał się wolno. Gdy wreszcie stanął w drzwiach, Jasiek nie musiał nic mówić – zaczarowany pas od razu przyciągał spojrzenie. Gruby Wojtek patrzył i patrzył, i oczom nie wierzył. Potem poszli razem do mieszkającego opodal Chudego Jędrka. Ten otworzył od razu, bo zawsze rozpierała go energia i żwawo biegał po bielonej chałupce. Jasiek i Gruby Wojtek nie musieli nic mówić. Chudy Jędrak patrzył i patrzył, i oczom nie wierzył.

Potem poszli we trzech do mieszkającego przy kościele Piegowatego Marcina. Nie zastali go w domu, bo przy ładnej pogodzie zwykł wygrzewać się na podwórzu, dzięki czemu jego piegi zyskiwały nowych towarzyszy. Jasiek, Gruby Wojtek i Chudy Jędrak nie musieli nic mówić. Piegowaty Marcin patrzył i patrzył, i oczom nie wierzył.



Potem poszli we czterech do siedmiu córek Jaśka, jeszcze niedawno zwanego Czkwacem. Mieli nadzieję, że mądre córki im pomogą. Odkąd bowiem Gruby Wojtek, Chudy Jędrak i Piegowaty Marcin ujrzeli Jaśkowy pas, myśleli tylko o tym, jak tu zdobyć podobne. Trzeba było coś wymyślić.

Mądre córki wiedziały, gdzie szukać sposobu. Pierwsza przyniosła worek lnu i szczotki do czesania. Druga kołowrotek. Trzecia to, co potrzebne do lnu barwienia: korę dębową, bazie z olszyny i topoli, mech, łuski cebuli oraz pestki słonecznika. Czwarta z piątą – krosna. Na koniec szósta i siódma pokazały zmartwionym chłopom, jak len czesać, motać, prać, zwijać, farbować i prząść z niego kolorowe pasy. Nie zwlekając, Gruby Wojtek, Chudy Jędrak i Piegowaty Marcin wzięli się do roboty.



Pracowali niezmordowanie siedem dni i siedem nocy. Ósmego dnia pierwszy pas był gotów. Długi, tęczy – niczym brat bliźniak Jaśkowego. Przywdziawszy go, Gruby Wojtek od razu wydał się szczuplejszy. Po następnych siedmiu dniach pas miał Chudy Jędrak, a po kolejnych – Piegowaty Marcin. Byli bardzo szczęśliwi.

Tak oto pięknie przystrojeni Jasiek, Wojtek, Jędrak i Marcin poszli przejść się przez wieś. Gdziekolwiek się pojawili, gospodarze zachwycali się niezwykłą ozdobą ich kamizel, odstawiali w kąt pług, kosy i siekiery i siadali za krosnami. Nie minęło lato, a wszyscy mężczyźni w Jaśkowej wsi paradowali w pasach podobnych do tęczy, która po siedmioletniej ulewie ukazała się nad ich krainą. I chodzą tak po dziś dzień, choć mało kto już pamięta, skąd się wziął pierwszy pas łowicki i dlaczego jest tak kolorowy.



Kurpiowskie czółko

Pewnego ranka Jadwisia wracała z targu. W koszu niosła pietruszkę, czereśnie, ser oraz rybę, która jeszcze godzinę wcześniej pluskała się w jeziorze przy rozczochranej wierzbie. Droga wiodła przez miasteczko, pole i Puszcę Białą. W ożywionej dziwnymi cieniami puszczy jak zwykle zastąpiły Jadwisi drogę Krasnoludki, które właśnie tańczyły wokół ogniska.

– Jadwiś, Jadwiś, co niesiesz w koszyku? – spytały.

– Niosę pietruszkę, czereśnie, ser i rybę, która jeszcze godzinę temu pluskała się w jeziorze przy rozczochranej wierzbie – odpowiedziała jak co dzień.

– Daj je nam – jak zawsze poprosiły Krasnoludki.

I, jak zawsze, Jadwisia odmówiła:

– Czereśnie są dla mnie, pietruszka dla mojego męża, a ser i ryba dla gości, którzy odwiedzą nas wieczorem i którzy nie jedli od siedmiu dni i siedmiu nocy.

I poszła dalej, a Krasnoludki zostały w leśnej kryjówce, marząc, że ktoś kiedyś podzieli się z nimi pietruszką, czereśniami, serem i świeżo złowioną rybą. Taki bowiem miały od dawna kaprys.

Wszystko pewnie potoczyłoby się dalej jak zwykle, gdyby nie sen, który Jadwisia miała tej nocy. Przyśniło się jej, że jest królową, siedzi na górze usypanej ze szlachetnych kamieni, jedną ręką chłodzi się wachlarzem z pawich piór, a drugą przesypuje szmaragdy i diamenty. Co zaś najważniejsze, na głowie ma złotą koronę!

Rano wstała rozmarzona i poszła na targ. Handlarze od razu spostrzegli, że jej myśli zaprzęta coś innego niż ich kolorowe stragany. Skąd jednak mogli wiedzieć, że to złota korona.

Wracając z targu, Jadwisia jak zawsze spotkała Krasnoludki.

– Co niesiesz w koszyku? – spytały, lecz ona nie traciła czasu na wyliczanie.

– Jeśli wyczarujecie mi złotą koronę – powiedziała – dostaniecie to, co leży w koszyku i tak smakowicie pachnie!

Krasnoludki się zdziwiły, skąd Jadwisia wie o ich czarodziejskiej mocy, zaraz jednak wzięły się do czarowania. Użyły w tym celu wszystkiego, co można znaleźć w kurpiowskiej krainie: gęstych mgieł otulających rankiem świat, grzybnych lasów, piaszczystych ścieżek, wijącej się nad polami Drogi Mlecznej, oślizgłych winniczków, spasionych ropuch, a także mchów i moczarów.

Niekiedy jednak siła czarów okazuje się większa niż chcą czarownicy. I tak zamiast jednej korony pojawiły się cztery! Na ten widok Krasnoludki – stworzenia oszczędne i praktyczne – postawiły Jadwisi warunek: pod koronami zamieszkają ich kuzyni, od dawna szukający w lesie domu. A że Jadwisia lubiła towarzystwo, więc chętnie się zgodziła. W czterech koronach wyglądała bardziej królewsko niż królowa z jej snu! Odbicie w strumieniu pokazywało piękność mogącą konkurować z bajkowymi księżniczkami. Był jednak pewien problem: ciężar. Już jedna złota korona dużo waży, a co dopiero cztery! Jak tu chodzić z nimi po targu, jak spacerować po lesie albo przyjmować gości?



Jadwisia i Krasnoludki zaczęli się więc naradzać, w co przemienić korony. Siedzieli na polanie i myśleli, a wokół gromadziło się coraz więcej kuzynów. Rozniosła się bowiem w puszczy wieść, że szykuje się dla nich wygodny dom. Wreszcie jeden z kuzynów przypomniał sobie kolorowe wstążki i cekiny, które widział kiedyś na targu. Jakże elegancko by się wśród nich mieszkalo! Jadwisia przyklasnęła i już wyobrażała sobie, jak pędzi przez pola w lekkim niczym tchnienie kolorowym czepcu. Tańczą za nią na wietrze długie do kolan wstążki, w rytm jej kroków kołysze się przyczepione z lewej strony pawie pióro, a do przelatujących drozdów śmieją się przytwierdzone z boku kwiatki. Ten strojny czepiec nazwała w myślach czółkiem.

Tylko Krasnoludki się zasępiły. Bo też nie było to wcale łatwe zadanie. Do przemiany złota w wyszywane czółka potrzebna jest pogoda czarownic: słońce i deszcz jednocześnie. Trzeba więc było cierpliwie poczekać na taką rzadką chwilę. Aż wreszcie, gdy przy pełnym słońcu lunęło jak z cebra, nie zwlekając ani chwili, Krasnoludki zamieniły ciężkie korony w przybrane cekinami czółko. Jadwisia wyglądała w nim jeszcze piękniej. Kuzyni zaczęli z radości tańczyć, po czym ustawili się w kolejce, by po drabinie po raz pierwszy wejść do własnego mieszkania.

Tej nocy Jadwisia miała piękne sny, szep-tane jej do ucha przez nowych sąsiadów. Kiedy rano szła na targ, mieszkańcy czółka dalej snuli opowieści. Gdy jeden kończył i zapadał w drzemkę, wątek przejmował drugi, potem trzeci i czwarty...

Królewski wygląd Jadwisi wzbudził na targu taką sensację, że Kurpianki czym prędzej pobiegły do lasu, gotowe w zamian za zdobne czółko ofiarować Krasnoludkom zawartość koszyka. Krasnoludki wpięrow się wzbraniały, niepewne, czy zdołają aż tyle zjeść. Zmieniły jednak zdanie na widok coraz liczniej nadciągających kuzynów. Za każdy koszyk wyczarowywały Kurpiankom czółka, które na ich głowach dumnie górowały nad miasteczkami, gościńcami, jeziorami i strumieniami. Do każdego czółka zaraz wprowadzali się uradowani kuzyni.

Czółka Kurpianek wyglądają podobnie, ale pod każdym mieszka ktoś inny. Niektórzy kuzyni musieli przejść na dietę, żeby się pod nimi zmieścić. Jest im tam ciepło, przewiewnie i miękko na postaniu z warkoczy. Okienka między cekinami pozwalają obserwować przesuwający się na zewnątrz świat. Czasem, jeśli dobrze się przyjrzeć, widać, jak czółka drgają, choć nie ma ani odrobiny wiatru. Znaczą to, że – na wzór Kurpiów – kuzyni Krasnoludków kręcą się właśnie w koło, tańcząc konika. Kiedy z czółka unosi się dymek, wiadomo, że mieszkańcy przygotowują kurpiowski specjał: placki kartoflane bądź bliny po kurpiowsku. A sypiące się na ziemię kolorowe papierki to niechybny znak, że wycinają kurpiowskie wycinanki.

Kurpianki są szczęśliwe, że od czasu snu Jadwisi mają nie tylko czepce jak kominy, ale i przyjaciół, którzy w trudnych chwilach szepczą im w ucho słowa pociechy. Najczęściej jednak opowiadają zabawne historyjki. Kuzyni Krasnoludków są bowiem świetnymi opowiadaczami kawałów. Słuchając ich, Kurpianki śmieją się, i śmieją, i śmieją do łez. Nie tylko z dowcipów, ale i z tego, że inni nie wiedzą, co jest powodem tej radości...



Chusty chochołowskich gaździn

Pewnego październikowego dnia w podhalańskim Chochołowie niebo pociemniało wcześniej niż zwykle. Słońce przestroniły dziwne plamy, straszna zerwała się wichura i na polu pod lasem wylądowały Niebożęta. Opadały na ziemię po cztery, uchwycone za rogi kolorowych chust. Stawiały pierwsze kroki na oszronionej trawie, śmiały się, przekrzykiwały i kichały siarczyście, bo nie były przygotowane na taki chłód.

Niecodzienne to zjawisko oglądały z dala wracające z sąsiedniej wsi cztery gaździny. Stały na drodze, przecierając ze zdziwienia oczy, i na wszelki wypadek nic nie mówiły. Gdy ostatni Krasnoludek dosięgnął ziemi, zachichotał, kichnął i pomknął zmarzniętą bruzdą, gaździny długo jeszcze nie ruszały się z miejsca. Wreszcie otrząsnęły się ze zdumienia i w milczeniu poszły dalej. Nie wiedziały, że czekają je kolejne niespodzianki.

Droga do Chochołowa była równie gęsto zastana chustami co pole pod lasem. Jak okiem sięgnąć, rozpościerały się chusty czerwone, niebieskie, różowe i żółte w pomarańczowe esy-floresy. Wyglądały jak egzotyczne wyspy, dryfujące w szarym pejzażu, który szykował się do zimowego snu. Gaździny w milczeniu przesłuchiwały między nimi. Gdy dotarły do Chochołowa, ledwie go rozpoznały – tak zmieniła się ich wioska. Wszędzie ciągnęły się splątane frędzle i wyszywane wzory. Tu i ówdzie mignął Krasnoludek w czerwonej czapce. Wygrzebywał się pośpiesznie spod chusty, porzucał ją bez żalu i – jakby się paliło – gnał do najbliższej chaty, by czym prędzej ogrzać się za piecem.

Potem nad przystrojonym Chochołowem, nad zmienionymi nie do poznania łąkami, polami i lasem zapadła noc. Niby taka sama, jak inne, lecz nie dla wszystkich. Nie dla gaździny ze stojącej pod lasem bielonej chaty...

Ledwie pierwsza gwiazda zabłyśła nad kościelną wieżyczką, gaździna wymknęła się z domu. Cicho zamknęła drzwi, uważając, by nie zbudzić chrapiącego przy piecu gazdy, i pobięła pędem do lasu. Rozglądała się trwożliwie i oglądała za siebie, czy nikt za nią nie idzie. Cała wioska spała jednak głęboko, śniąc o kolorowych chustach. Na skraju lasu gaździna przystanęła, przyświecając

sobie naftową lampką. U jej stóp leżały chusty. Aż westchnęła z zachwytu – tak niezwykle wyglądały w świetle lampki i wychodzącego zza chmury księżyca. Wydało się jej, że chusty do niej mrugają i wyciągają w jej stronę poplątane frędzle. Którą wybrać? Tę, która zaśmiewa się najweselej, czy tamtą, wijącą się na zakręcie dróżki? Wybrała trzecią, bo od jej radosnej zieleni nie mogła oderwać oczu.

Pochyliła się gaździna nad zieloną chustą, chwyciła za rąbek i pociągnęła do siebie. Chusta jakby na to czekała. Podpełzła do gaździny po piaszczystej ścieżce, wpłynęła po pasiastej spódnicy, białej koszuli, pięknie wyszywanym gorsecie, czerwonych koralach, jasnych warkoczach. Aż otuliła głowę i zawiązała się szczelnie pod brodą.

Gaździna stała oniemiała, bojąc się ruszyć, by czar nie przysł. Było jej w chustcie ciepło, miło, przytulnie. Niestraszny już był jesienny wiatr. Stała tak długo, aż zaczął przygasać naftowy płomyk. Chusta tymczasem ani drgnęła, jakby uśpiona na jej ramionach. Wreszcie powoli, ostrożnie gaździna ruszyła z powrotem. Leżące na ziemi chusty ustępowały jej z drogi.



Nazajutrz cała wieś wstała późno, bo – jak się wkrótce okazało – wszystkie mieszkanki miały pracowitą noc. Gdy słońce było już wysoko na niebie, a gazdowie odpoczywali po rąbaniu drzew na zimę, z pierwszej chałupy wyrzała jedna gaździna, z drugiej – druga, z następnych – trzecia i czwarta. Popatrzyły po sobie, przecierając ze zdumienia zaspane oczy. Po czym wybuchły śmiechem tak głośnym, że echo poszło po turniach, odbiło się od skał, poślizgnęło na kamieniach w potoku. Konie w stajniach zarżały, pewne, że grzmi na burzę.

Pierwsza, druga, trzecia i czwarta – wszystkie chochołowskie gaździny miały na głowach mocno związane pod szyją chusty! Kwieciste, jaskrawe, wielobarwne, miłe w dotyku. Patrząc na sąsiadki, każda gaździna miała wrażenie, jakby sama siebie podziwiała w lustrze. Zaraz też zebrały się w jednej chałupie, zasiadły na ustawionych w koło ławach i dalej opowiadać, gdzie która chustę znalazła! Zaśmiewały się przy tym tak, że aż płynęły im łzy, które obcierały rąbkami chust. A za piecem grzały się Niebożęta (bo szła przecież zima i coraz chłodniej było na świecie) i z uciechy klaskały w chude rączyny. Cieszyły się, że przybывая do Chochołowa z dalekiej krainy, sprawiły gaździnom tyle radości. Dzięki ich chustom gaździny nie tylko się śmieją, nie tylko im w mróz ciepło w głowę, ale w grudniowe wieczory mają o czym opowiadać, co wspominać i czemu się dziwować.

I choć od tamtej nocy minęło wiele srogich zim i tyle samo dżdżystych wiosen, upalnych lat i wietrznych jesieni, gaździny nadal wiążą barwne chusty mocno pod brodą. Może robią to z przyzwyczajenia, a może na wszelki wypadek, by któreś nocy chusty nie odleciały. Bo przecież nigdy nic nie wiadomo.

Gaździna stała oniemiała, bojąc się ruszyć, by czar nie przysł. Było jej w chuście ciepło, miło, przytulnie. Niestraszny już był jesienny wiatr. Stała tak długo, aż zaczął przygasać naftoKsiężyc znów schował się za chmurę, gdy gaździna w zielonej chuście, niezauważona przez nikogo, doszła do chałupy. Zamknęła za sobą drzwi i popędziła w kąt do lustra nad malowaną komodą. Patrzyła i oczom nie wierzyła. Jaka była piękna! Jak wytwornie wyglądała! Żadna sąsiadka – cieszyła się w duchu – jej nie dorówna. wy płomyk. Chusta tymczasem ani drgnęła, jakby uśpiona na jej ramionach. Wreszcie powoli, ostrożnie gaździna ruszyła z powrotem. Leżące na ziemi chusty ustępowały jej z drogi.

Księżyc znów schował się za chmurę, gdy gaździna w zielonej chuście, niezauważona przez nikogo, doszła do chałupy. Zamknęła za sobą drzwi i popędziła w kąt do lustra nad malowaną komodą. Patrzyła i oczom nie wierzyła. Jaka była piękna! Jak wytwornie wyglądała! Żadna sąsiadka – cieszyła się w duchu – jej nie dorówna.

O spaniu nie było mowy. Resztę nocy zajęło gaździnie malowanie na szkle fantastycznego obrazka: przed chochołowskimi chałupami rozsiadły się gospodynie, a każda miała na głowie kolorową chustę. Spoglądając na malunek, artystka głośno się zaśmiała. Co za dziwactwa przychodzą jej do głowy! Tymczasem zza pieca wyrzało Niebożę i też się roześmiało. Gaździna nie wiedziała jeszcze dlaczego...

Wreszcie, szczęśliwa i zmęczona, na wszelki wypadek nie zdejmując chusty, poszła spać. Śniły się jej sąsiadki, jak do niej machają, podtrzymując pod brodami wzorzyste chusty.



Zakopiańskie kierpce

Na Zochnę wołano w Zakopanem „artystka”. W jednych ustach brzmiało to jak komplement, w innych jak obelga. W każdym razie Zochna była inna od reszty góralek. Tamte po robocie bawiły się, plotkowały i podglądały chłopaków z sąsiedztwa. Ona siadywała w kącie i dalejże malować rozbójników na szkło, strugać kogutki w drewnie, wycinać ciupagi z kolorowych papierków.

A że do sztuki trzeba zadumy i tego, co niektórzy nazywają beczynnością, więc widywano Zochnę nieraz, jak siedzi zasłuchana w nie wiadomo co. Może w jakąś muzykę dla innych niesłyszalną? Może w zapowiedź halnego, o którym szumiały już sosny, ale ludzkie ucho nic jeszcze o nim nie wiedziało? Grunt, że w głowie Zochny rodziły się wówczas pomysły, które ożywały potem w malowanych diabłach, rzeźbionych Krasnoludkach, wycinanych z bibułki Wiedźmach spod Dębu.

Aż pewnego dżdżystego dnia Zochna tak się zamyśliła, tak bajkowe pomysły przychodziły jej do głowy, że z kącika za kredensem nie ruszyła się przez całe popołudnie, noc i kawałek ranka. Nikt nie zwrócił na to uwagi, bo wszystkich zajmowały ważne zajęcia i niecierpiące zwłoki sprawy.

W tym kąciku od roku mieszkała Bura Mysz. Uważała go za swój rewir, była więc bardzo niezadowolona, że ktoś bez pytania spędza w nim tyle czasu. Toteż gdy Zochna zapomniata o reszcie świata, pogrążona w rozmyślaniach o Niebożętach, Utopcach i Lichach, Bura Mysz postanowiła dać jej nauczkę. Była od Zochny mniejsza, słabsza i w dodatku miała niewiele czasu, bo zima tuż-tuż i trzeba było robić zapasy, wybrała więc rozwiązanie najprostsze. Kiedy Zochna tkwiła tak bez ruchu, a w jej głowie kłębiły się kolorowe wizje, Bura Mysz starannie poobgryzała jej lewy trzewik. Była na tyle uprzejma, że nie przegryzała go na wylot, tylko wyskrobała w grubej skórze fantastyczne wąwozy i doliny. W ten sposób dała Zochnie do zrozumienia, że w swoim kącie za kredensem nie życzy sobie nieproszonych gości.

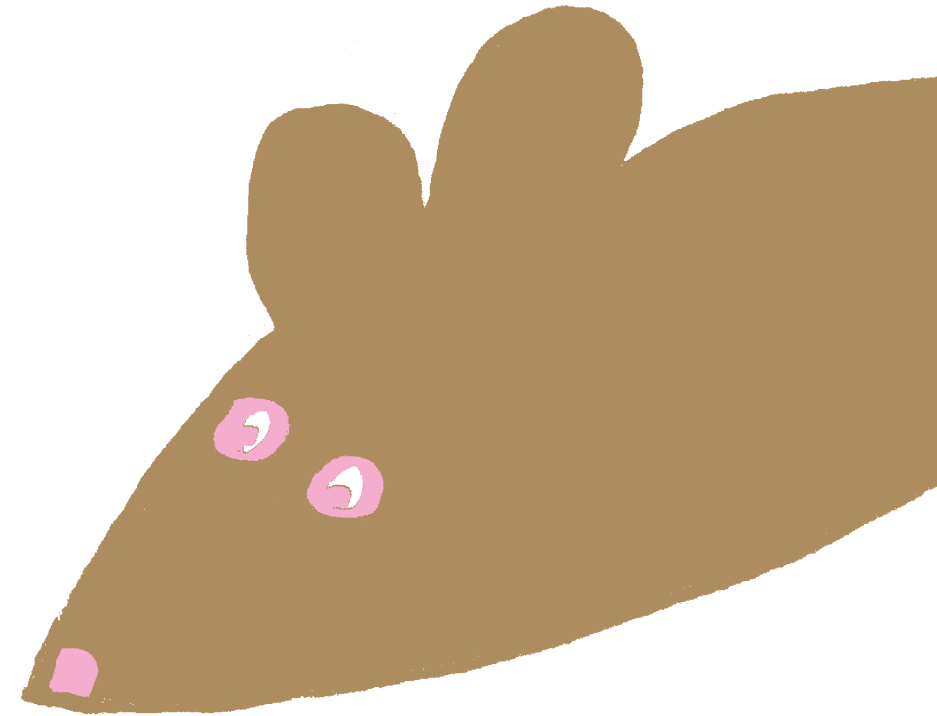
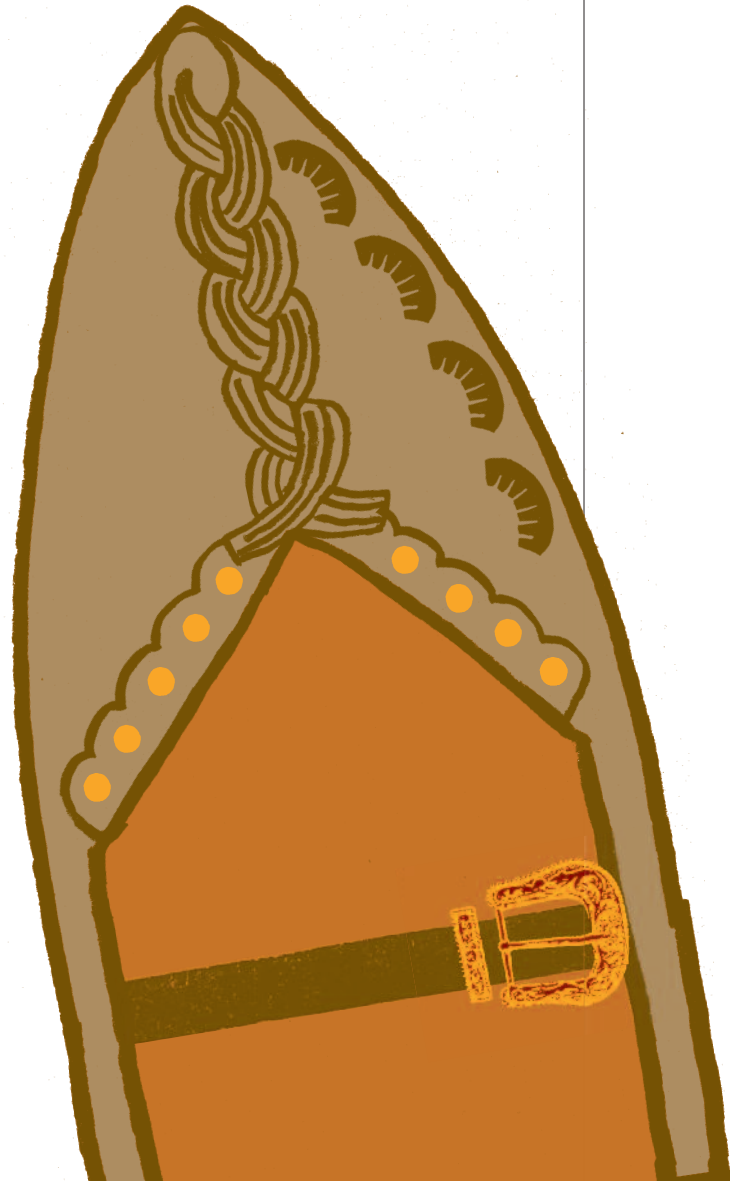
Nazajutrz późnym rankiem Zochna ocknęła się z zadumy. Głowę rozsadały jej setki niezwykłych obrazów. Już chciała biec po szkło, pędzle, farby, drewno, dłuto, nożyczki, klej i kolorowe bibułki, gdy spojrzała na swoje stopy i przerażona opadła z powrotem na krzesło. Twórcze myśli pierzchły. Co powie góralom, góralkom i Jankowi z Bukowiny, który co tydzień na targu pytał, czy buciki dobrze się noszą? Jak się wytłumaczy mamie, w kółko powtarzającej, że nic dobrego z tego dumania nie będzie?

Szybko się domyśliła, że takiej szkody mogła dokonać tylko Bura Mysz, którą od roku widywała w chałupie. Odgadła też, co mogło skłonić małą sąsiadkę do tak pracowitego ataku. Całe szczęście Zochna była osobą wyrozumiałą. Nim słońce wyrzało zza dziurawej topoli, wybaczyła Myszy, a w nowym wyglądzie bucików dojrzała piękno. Czy gdyby jeszcze prawy trzewik podobnie poobgryzać, buty nie wyglądałyby ciekawiej niż przedtem? Po raz pierwszy w życiu Zochna zachowała się praktycznie i postanowiła namówić Mysz do współpracy. Najpierw musiała jednak cierpliwie na nią poczekać. Na razie biedna dziewczyna przemykała pod ścianami, to lewy bucik zaścianiając chustą, to na widok mamy siadając zniecierpliwiona na ławie. Wreszcie, koło południa, w kąciku za kredensem pokazała się zadowolona z siebie Mysz.

Należało działać szybko, póki znów gdzieś nie popędzi, jak zawsze zajęta nie wiadomo czym i śpiesząca się nie wiadomo gdzie.

– Miła sąsiadko – zaczęła Zochna bez chwili wahania. – Pięknie mi przyozdobiłaś trzewik. Gdybyś zechciała, mogłybyśmy wspólnie zdobić buciki i sprzedawać je na targu w Zakopanem. Dostałybyśmy za nie woreczek złotych monet i stać by nas było na osobne zaciszne kąciki za kredensem. Miałłybyśmy mnóstwo miejsca i nigdy więcej sobie nie przeszkadzały!

Mysz już się miała zakręcić na wytłuszczonej od ciągłego biegania pięcie i puścić pędem pod stół, gdy propozycja Zochny zatrzymała ją w pół kroku. Pomysł wart był zastanowienia. Widząc jej zainteresowanie, Zochna dalej rozprawiła o skórzanych bucikach ze spiczastymi noskami i warkoczem z cienkich skórek pośrodku. Butkach zapinanych na błyszczącą klamerkę, zdobionych złotymi guzami i rzezanymi we wzory przypominające szarotki i goryczki, rosnące wysoko w Tatrach. Takie buty miały być nie tylko wygodne i trwałe jak wyroby Janka z Bukowiny, ale też wyglądać jak dzieło sztuki. Bura Mysz słuchała.



Wieczorem zabrali się do roboty. Gdy wszyscy zasnęli, Zochna na palcach podeszła do łóżeczka swojej siostry Marysi, porwała jej butki i czmychnęła z nimi do kącika za kredensem. Tam, ostrząc zęby, czekała Mysz.

Ustaliły prosty podział zadań: najpierw Mysz podgryzała grubą skórę, a potem Zochna kozikiem nadawała wygryzieniom kształty skalnych roślinek. Współpraca nad pierwszą parą przebiegła im tak szybko, że ani się spostrzegły, a stało przed nimi gotowe dzieło. Efekt był zachwycający.

Jak wiadomo, gust jest rzeczą względną, toteż obie artystki z zapartym tchem czekały, co rano powie Marysia. Ta zaś, ledwie się zbudziła, przetarła zaspane oczy, wsunęła stopy w stojące przy łóżeczku butki i wykrzyknęła:

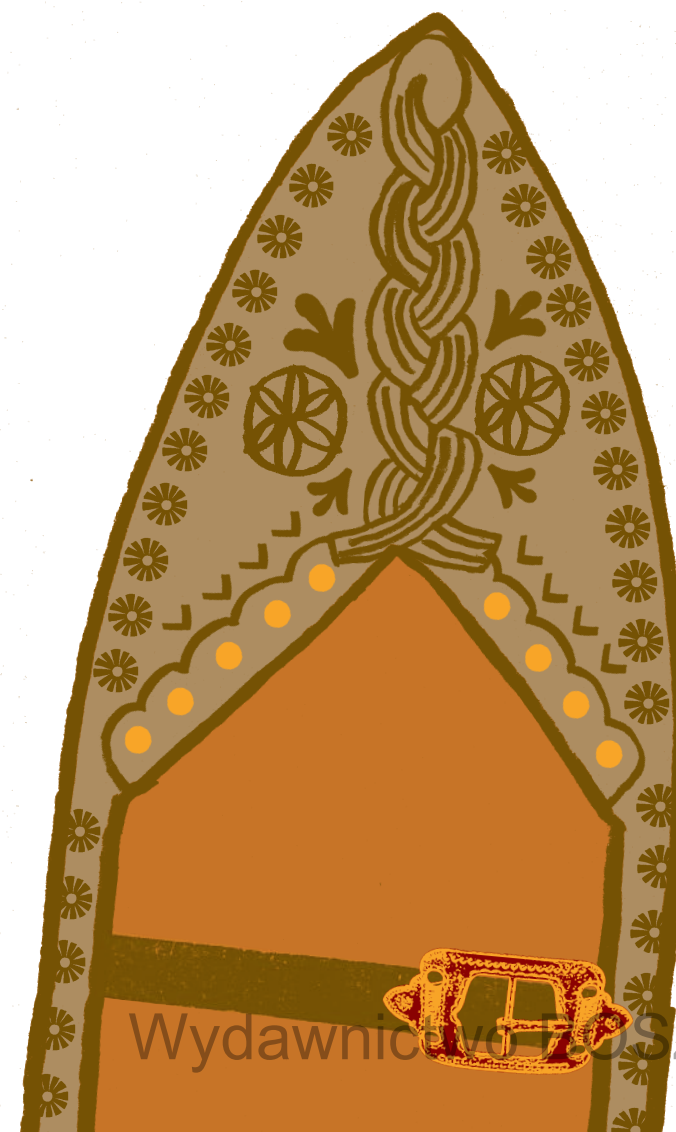
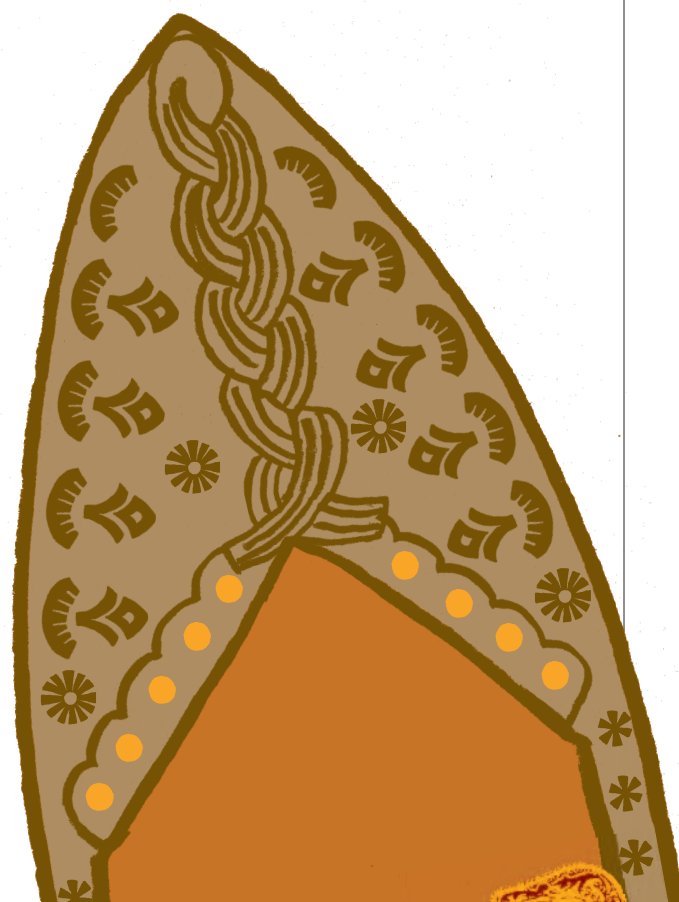
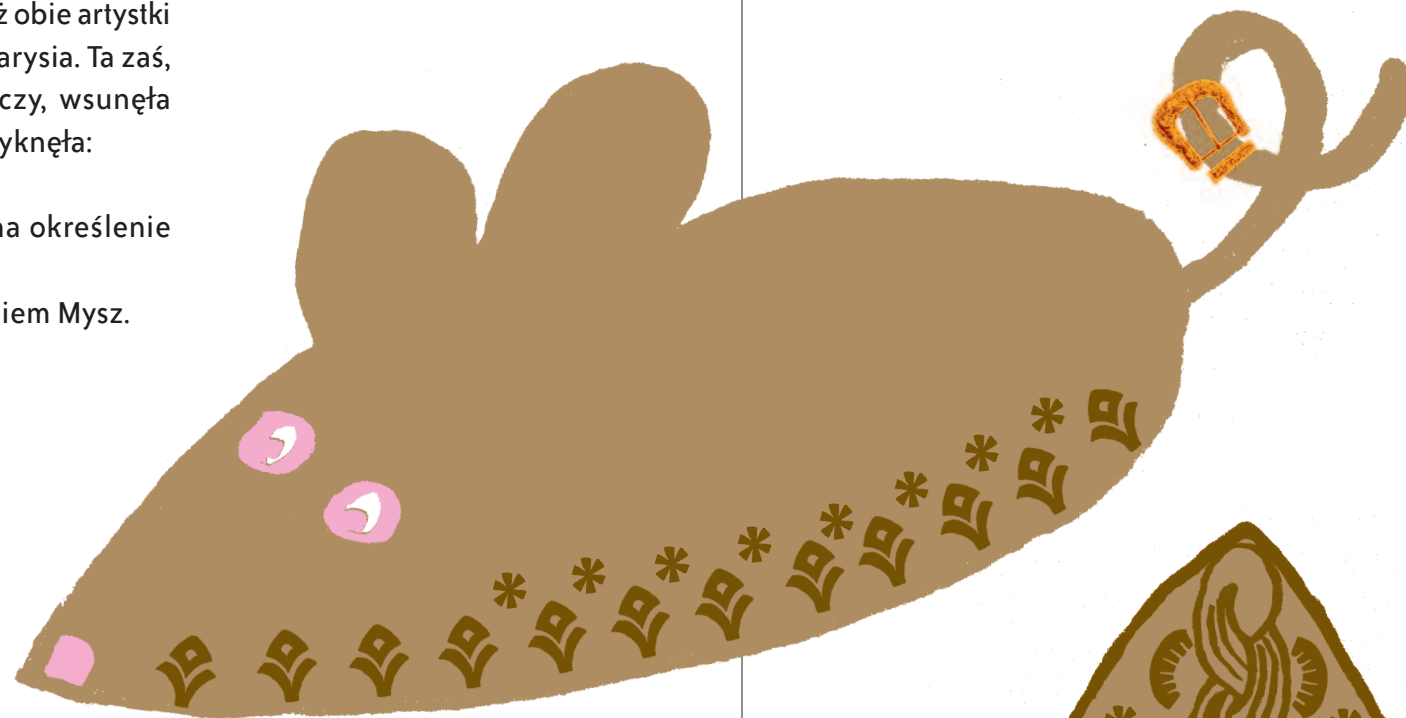
– Co za kierpce!

Miała bowiem zwyczaj wymyślania słów na określenie nowych rzeczy.

– Podobają ci się? – spytała z niedowierzaniem Mysz.

Marysia nie miała jednak czasu na odpowiedź – tak jej było śpieszno pokazać to cudo góralom i góralkom. Zgodnie z przewidywaniem Zochny, kierpce tak zachwyciły mieszkańców Zakopanego, że wszyscy zapragnęli mieć takie same, i to jak najszybciej! I tak Zochna z Burą Myszą miały odtąd ręce pełne roboty, ledwo nadążając, by spełnić życzenia wszystkich klientów. Janko z Bukowiny też się nie nudził, bo musiał dostarczać artystkom coraz więcej bucików. Z Zakopanego moda na kierpce szybko rozniósła się na sąsiednie wsie i miasteczka.

Zochnę dalej nazywano artystką, lecz teraz wszyscy mówili to z uznaniem. Bura Mysz była szczęśliwa, że jest tak ważna i ma tyle do zrobienia. Pracując dzień i noc, artystki szybko uzbierały kilka woreczków złotych monet. Było im jednak razem tak dobrze, że nie myślały już o przeprowadzce w osobne kąty. Kto by zresztą wówczas rzezał wzory w kierpcach, na które czekają gaździny, gazdowie, a nawet i mieszkańcy odległych płaskich krain?



Koniakowskie koronki

Dawno, dawno temu gród Kraków nawiedziła straszna plaga. Zmusiła mieszkańców, by porzucali wiekowe domostwa, zapominali o rodzinie, krewnych, przyjaciółach i pędzili przed siebie, gdzie oczy poniosą!

Plaga przybrała postać kramarki Matyldy, od świtu do nocy rozprowadzającej plotki o mieszkańcach grodu. Matylda świetnie wiedziała, co się dzieje w ich domach, pamiętała nazwiska, imiona, przydomki i stopnie pokrewieństwa i bez wahania rozgłaszała tajemnice krakowian przed resztą świata. A głos miała donośny i niespożytą energię. Jej kramik omijano więc szerokim łukiem. Niewiele to jednak pomagało. Na widok nowej ofiary Matylda wybiegała zwykle zza sterty czerwonych jabłek, rozsypując przy okazji górę dorodnych śliwek, chwytając w dwa palce poły kwiecistej spódnicy, drugą ręką podtrzymywała przekrzywający się koronkowy czepek i wielkimi susami pędziła pośród straganów, póki nie dopadła nieszczęśnika. Łapała go za guzik bądź za rąbek związanej pod brodą chustki i zaczynała mówić. Mówiła tak długo, że zmęczone słońce chowało się za wieżę kościoła Mariackiego, a trębacz zaczynał grać hejnał później niż należało, w obawie, że Matylda i za nim wbiegnie po tysiącu stopni.

Zdarzało się, że spanikowani przechodnie, uciekając przed Matyldą, wpadali pod powozy bądź zderzali się ze sobą, łamiąc sobie nawzajem nosy i rozbijając głowy. Coraz więcej udręczonych jej gadulstwem mieszczan porzucało piękny krakowski gród, brukowane uliczki, na których tak radośnie dźwięczały rankiem końskie kopyta, Wisłę szemrzącą o dziejach miasta i niemające sobie równych pyszne bajgle, obtaczane w maku i sezamowym ziarnie. Nieszczęśni krakowianie wyrzekali się tego wszystkiego i zatykając uszy, uciekali – byle jak najdalej od kramiku na rynku. Daleko jeszcze za bramą Floriańską dochodził ich gromki głos Matyldy. Wyglądało na to, że nie ma na nią sposobu i że niebawem Kraków całkiem opustoszeje.

Król zwołał więc naradę. Wzięły w niej udział najtęższe umysły królestwa. Nad rozwiązaniem głowiono się przez równe siedem dni i siedem nocy. Mędrcy mieli tyle pomysłów, że król musiał wydać zarządzenie: KAŻDY UCZONY MA PRAWO DO JEDNEGO TYLKO POMYSŁU, KTÓRY ZAPISANY ZOSTANIE W ŻŁOTEJ KSIĘDZE.

Po czym poszedł spać, a mędrcy obradowali dalej. Jeden proponował, aby Matyldę porwać, wywieźć z Krakowa i porzucić w Górach Stołowych. Drugi – żeby zakleić jej usta klejem. Trzeci – wtrącić do zamkowej celi. Czwarty, piąty i szósty też dorzucili swoje trzy grosze, lecz nikt ich już nie słuchał. Po czym wszystkie plany odpadły z prostego powodu: próżno by szukać śmiałka, który dobrowolnie zgodzi się na spotkanie z kramarką Matyldą.

Siódmego ranka uczeni byli już bardzo senni i zmęczeni, a król z królową stracili nadzieję, że coś wymyślą. Martwili się halabardnicy i strażnicy, rycerze i kucharze, dwórki, skarbnik i błazen.

I właśnie owego siódmego dnia – gdy mędrcy marzyli jedynie o tym, by położyć się do łóżek – przed ich ponure oblicza stawiała się koronczarka Igietka z Koniakowa. Jak wszystkie koronczarki, miała płowe loczki, zadarty nosek, a na jego czubku druciane okulary (koronczarkom bowiem nad mozolną robotką szybko psuje się wzrok). Pomysł Igietki nie wydawał się lepszy od innych, ale że mędrcy byli już bardzo znużeni, więc jednogłośnie się nań zgodzili. I zaraz poszli spać.

Nazajutrz król i królowa z ulgą przyjęli wiadomość o zakończeniu trwającej siedem dni i nocy narady. Igietka zaś od razu zaczęła wcielać w życie swój plan. Wpierw kupiła na targu siedem tysięcy siedemset siedemdziesiąt siedem szpul białej nici. Potem spośród stu siedemdziesięciu siedmiu szydełek wybrała najcieńsze, które pozwalało na utkanie najdrobniejszego ściegu. Po czym zasiadła w sali tronowej.

Siedziała w samym środku na złotym tronie, a wokół piętrzyły się szpule. Kryształowe lustra odbijały jej drobną postać nachyloną nad robotką. Siedziała tak – drzemiąc od czasu do czasu – przez całe sto siedemdziesiąt siedem dni i tyleż nocy. Koło niej uwijały się dwórki, to przynosząc upieczone przez królewskiego kucharza poziomkowe ciasto, to częstując eliksirem z nocnej szafki królowej, to chłodząc wachlarzami z pawich piór.

Mieszkańcy Krakowa szeptali między sobą, że niezwykle rzeczy muszą się dziać na Wawelu, skoro król przestał się martwić kramarką Matyldą i zapewnił poddanych, że na plagę znalazła się rada. Z otuchą więc spoglądano ku zamkowi i niejeden uciekinier zawracał w pół drogi, dając ukochanemu miastu jeszcze jedną szansę.

Plan Igietki był prosty. Jak przystało na koronczarkę, wiedziała, że nawet najbardziej zawikłana plotka, najbardziej poplątane dzieje rodzin, kuzynów i pociotków nie dorównają złożonością koniakowskiemu ściegowi, dzierganemu najcieńszym z szydełek.

Po stu siedemdziesięciu siedmiu dniach i tyluż nocach dzieło było skończone. Posadzkę sali tronowej pokrywał gigantyczny koronkowy obrus, na który złożyło się siedem tysięcy siedemset siedemdziesiąt siedem szpul białej nici. Igiełka wstała z tronu, rozprostowała zdrętwiałe plecy, odgarnęła jasne loki i uśmiechnęła się do zastygłych w podziwie dwórek. Była gotowa do pojedynku z Matyldą!

Gdy wychodziła z Wawelu, król kazał strażnikom utworzyć na jej cześć honorowy szpaler. Tuż za nią jechała z wolna zaprzężona w dwanaście koni największa królewska karetka po dach wypełniona białym obrusem.

W samo południe Igiełka udała się prosto na rynek pod kramik Matyldy. Niezwykły był to widok: dziewczyna w drucianych okularach i sunący za nią krok w krok najwspanialszy w państwie powóz. Toteż zewsząd zbiegali się gapie, wybałuszali oczy ze zdumienia, pokazywali sobie nawzajem Igiełkę, a niektórzy w rosnącym zgietku zagradzali nawet stangretowi drogę. Słyszając wrzawę, kramarka Matylda przerwała na moment opowieść o trzecim kuzynie mleczarza z ulicy Brackiej i nadstawiła ucha. Wtedy właśnie stanęła przed nią Igiełka, a za nią zatrzymało się, parszcząc, dwanaście kasztanków.

Igiełka wiedziała, że nie ma ani chwili do stracenia. Że jeśli Matylda pierwsza otworzy usta, będzie za późno. Powiedziała więc, jak mogła najszybciej i najgłośniej:
– Kramarko Matyldo, przynoszę pani królewski prezent. Miłościwie nam panujący Król Jegomość przysłał ten oto obrus, by za jego pomocą mogła pani lepiej tłumaczyć zawite dzieje krakowskich rodów. Nic tak nie ułatwi słuchaczom zrozumienia ich pogmatwanych historii, jak skomplikowane sploty koniakowskiego ściegu!

I stangret z pomocą gapiów rozłożył przed oniemiałą Matyldą obrus, który zaczął się pod kościołem Mariackim, zakrywał Sukiennice i kończył się pod ratuszem. Kramarka patrzyła i patrzyła, po raz pierwszy w życiu nie mówiąc ani słowa...

Za Igiełką tymczasem zbierał się coraz większy tłum, ciekaw, kto zwycięży w koronkowym pojedynku.

Matylda milczała tak długo, tak długo wpatrywała się w białe sploty, z takim uporem usiłowała zrozumieć płataninę nitek, że znudzeni gapie zaczęli rozchodzić się do swoich spraw. W czasie gdy śledziła ginące w tysiącach supłków niteczki, ktoś się urodził, ktoś inny umarł, a jakaś panna spotkała młodzieńca, którego poślubiła w kościele Świętej Anny. Matylda jednak tego wszystkiego nie wiedziała, zajęta rozwiązywaniem łamigłówek.

W mieście radość była wielka. Fortel koronczarki wyzwolił krakowian od plag i nikt już nie musiał z grodu uciekać. Matylda przestała bowiem opowiadać, przestała nawet sprzedawać jabłka i pomidory i tylko siedzi, i siedzi nad obrusem, wodząc palcem po supłach, supłeczkach i prowadzących donikąd frędzlach koniakowskiej koronki. A krakowianie robią sobie, co chcą, i żyją, jak chcą, spokojni, że nikt ich więcej nie będzie brać na języki. Wolą nie myśleć, co by było, gdyby ktoś kiedyś w niedalekim Koniakowie nie wymyślił ściegu nad ściegami, który dotąd nie ma sobie równych. Od tej pory sława koniakowskich koronek rośnie i rośnie, rozchodząc się w świat, daleko poza Kraków...



Pociąg

Niekiedy przy bezchmurnej pogodzie przez mazowieckie łąki, podhalańskie przełęcze, mazurskie jeziora i kaszubskie plaże przejeżdża pociąg. Jeśli dobrze się przyjrzeć jego trasie, dziw bierze, bo nie ma tam ani torów, ani stacji, ani szlabanów, ani budek dróżników. Nie ma megafonów, rozkładów jazdy ani ludzi dźwigających walizy. A mimo to pociąg mknie zalaną słońcem krainą, stukają koła, znad parowozu unosi się para i ptaki ćwierkają o wielkiej podróży.



Jeśli się przypatrzyć wagonom – a lepiej zrobić to szybko, bo pojawiają się na мгновение oka – okazuje się, że każdy jest inny. Różnią się kolorem, wielkością, kształtem i podróżnymi. W przypominającym wielkie akwarium, sunącym tuż za parowozem wagonie niebieskim pluskają się Boginki. Od czasu do czasu zasiadają przy oknie, rozczesują mokre włosy i wyrzucają na pola wodorosty. Toteż wzdłuż trasy pociągu ziemia jest płodna i zboża dorodniejsze niż gdzie indziej.

W uczeponym dalej wagonie czarnym, mrocznym jak kominiarze w ciemnym kominie, wysiadują dziury w fotelach Czarne Licha. Siedzą wściekłe, niezadowolone ze wszystkiego – z prędkości, pejzażu, temperatury i towarzystwa. Pod czarnymi jak smoła czuprynymi kłębą się im czarne myśli. Zakrzywionymi pazurami usiłują rozregulować i tak już niesprawne drzwiczki. Panuje tu złowroga cisza, której na złość innym Czarne Licha nie chcą przerwać.



Kto spojrzy na wagon trzeci i czwarty, temu długo się potem w oczach mieni, taki blask bije od górali w wyszywanych portkach i łowiczan w bajecznych pasach. Trudno powiedzieć, kto zajmuje wagon trzeci, a kto czwarty, kto siedzi w przedziale, a kto spaceruje po korytarzu. Pasy i parzenice są bowiem tak kolorowe, że kto spojrzy, ten zaraz mruży oczy i jak najszybciej przenosi wzrok do wagonu piątego.

A tam jest szaro i z każdej szpary kapie woda. I choć podróżni wyglądają na džentelmenów w płaszczach i kapeluszach, wystarczy odrobina spostrzegawczości, by się domyślić, że to Utopce. Zwykły jegomość nie przeciekałby przy każdym ruchu i z teczki nie sączyłaby mu się błotnista breja. Że jednak Utopce są wyjątkowo drażliwe na punkcie swego wyglądu, więc dyskretny obserwator – jakby nigdy nic – przechodzi do wagonu szóstego.

Wagon szósty ma kształt gigantycznego muchomora. Kto zajrzy do środka przez którąś z kropek, zdziwi się na widok pustych przedziałów. Dopiero po chwili spostrzeże schowane pod siedzeniami Niebożęta. Nie wiadomo, dlaczego wolą podróżować w tak niewygodnych warunkach. Może lubią być razem i opierać brodate głowy o ramiona towarzyszy? A może przywykły do ścisłu panującego w kącie góralskiej izby? Tak czy inaczej, całą podróż spędzają w ukryciu. Zdradza je tylko dym z fajeczek i dochodzące spod siedzeń piosenki.

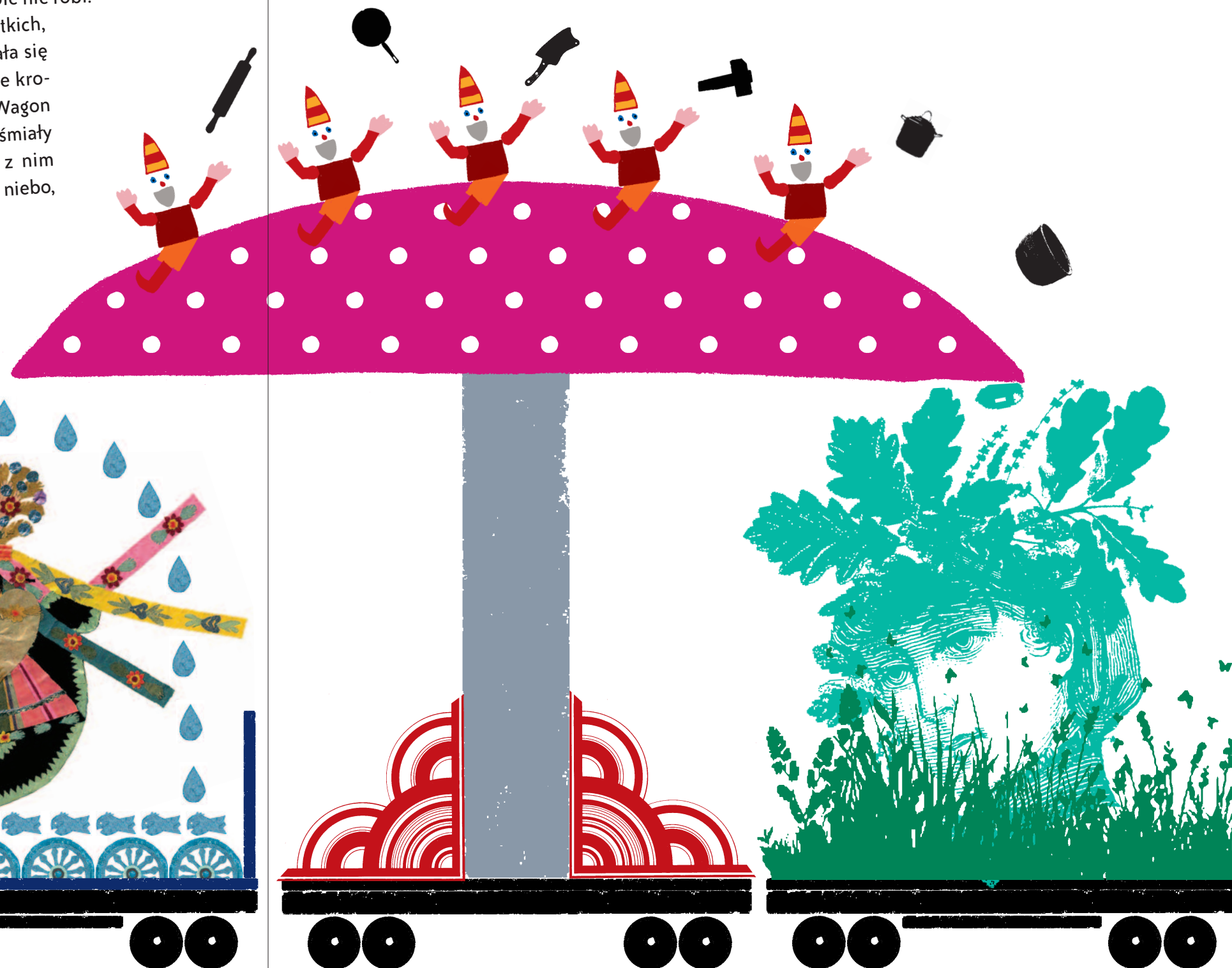


Wagon siódmy – w przeciwieństwie do szóstego – jest tłoczny i jaskrawo żółty. Przypomina olbrzymią cebulę. Rezyduje w nim Wiedźma spod Dębu. Inaczej mówiąc: Babuleńka, co się zna na ziołach i gada do nich ich językiem. Od lat nie rusza się nigdzie sama, w podróży towarzyszą jej zioła. Zajmują każdy przedział, każde siedzenie, każdy kawałeczek korytarza. Cały czas usiłują coś Babuleńce powiedzieć, zwierzyć się z leśnych sekretów, poskarżyć na sąsiada, dać przepis na uzdrawiający napar albo zaproponować, by przerwać podróż i czym prędzej wrócić na Babią Górę. W wagonie panuje więc harmider nie do wytrzymania. Babuleńka jednak udaje, że jest głucha i z gadulstwa współtowarzyszy nic sobie nie robi.

Odpocząć można dopiero w ósmym wagonie. Jest największy ze wszystkich, nieforemny i całkiem przezroczysty. Wygląda tak, jakby właśnie oberwała się nad nim chmura. Na przezroczystych ścianach stale lśnią niewyschnięte kropelki, a po dachu w rytm jazdy przesuwa się kałuża wielkości jeziora. Wagon zajmuje Olbrzym. Jak to się często dużym stworzeniom zdarza, jest nieśmiały i zakłopotany swoim wyglądem. Boi się, że nikt nie zechce jechać z nim w przedziale. Że podróżni będą złorzeczyć na jego fryzurę, którą dziurawi niebo,

albo narzekać, że jest cięższy od ciągnącej ich lokomotywy i zajmuje za dużo miejsca. Siedzi więc skulony w kącie i z wdzięcznością przyjmuje rzadkie wizyty.

W wagonie dziewiątym jadą rozbawione Kurpianki, słuchając opowiadanych przez kuzynów Niebożąt dowcipów. Tak się zaśmiewają, że czółka co chwila przekrzywiają się im to w lewo, to w prawo, a czasem nawet zsuwają na oczy i przestaniają migający za oknem widok. Pola i lasy wyglądają wtedy, jakby specjalnie dla Kurpianek przystroili się w koronki.miejsca. Siedzi więc skulony w kącie i z wdzięcznością przyjmuje rzadkie wizyty.



Za dziewiątym pędzą jeszcze inne wagony, lecz kto by je zliczył i opisał! Wszystkim podróżnym przyświeca jednak ten sam cel: przenieść się z dobrze znanego miejsca w inne, odległe i obce, i tam spróbować życia. Górale w portkach z parzenicami wysiadają więc na kaszubskiej plaży. Czarne Licho, opuściwszy ze złością Gopło, rozwalonymi przez siebie schodkami złazi wściekłe na górskie zbocze. Boginki zażywają ostatniej kąpieli w wagonie-akwarium, nim nie zatęsknią za wodą na Pustyni Błędowskiej. Babuleńka na razie ukrywa przed leśnymi ziołami fakt, że pomieszkają trochę w ruchliwym mieście. Olbrzym nie zdradza nikomu niepokoju, jak sobie

poradzi w mysiej norze na krańcu świata. Tylko Niebożęta z lekkim sercem śpiewają piosenki, bo od wieków pomieszkują wszędzie, gdzie je bystre oczka poniosą. Są i tu, i tam, i jeszcze gdzie indziej. Zawsze potrafią znaleźć sobie ciepły kącik za piecem, osłaniający przed deszczem grzyb czy wyrzucony but, który świetnie nadaje się na mieszkanie.

Pociąg pędzi tak szybko, tak niepostrzeżenie pojawia się i znika, bo pasażerowie nie wytrzymują długo w nowych miejscach. Góralom piasek sypie w oczy i przesłania widok na parzenice. Boginkom chce się pić i nie mogą się doczekać, kiedy znów nad Żabim Stawem wyczeszą z włosów wodorosty. Babuleńka ma dość narzekań ziół i nie może patrzeć, jak z każdym dniem bardziej więdną. Czarne Licho jest tak samo wściekłe w Tatrach, jak było na dnie Gopła. Olbrzym nikomu się co prawda nie skarży, że nie zdołał wleźć do mysiej nory, ale z radością myśli o powrocie do kaszubskich głązów, które tak lubi przenosić.

Toteż maszynista bardzo się śpieszy, by jak najprędzej zabrać podróżnych do domu. Wie, że jego praca nigdy się nie skończy, bo zawsze nowe Boginki, nowe Babuleńki z ziołami pod pachą i Kurpianki w zdobnych czółkach będą chciały zobaczyć inne strony i zakosztować innego życia. Po to tylko, by z radością wrócić do siebie i przez jakiś czas nie myśleć o podróży. Dopóki znów nie wsiądą do pociągu.



